

Małgorzata
Cichalewska

Jęlato Joanny



● Wydawnictwo TELBIT

Małgorzata Cichalewska

Lato Joanny

Ściągnęła wypchany plecak z półki. Przysiadła w kącie i spojrzała w okno. Pociąg zwalniał właśnie na dużym łuku i ospale wjeżdżał między strzelające w górę sosny. Za drzewami lśniło dobrze jej znane jezioro.

Jęzor wody ciągnął się leniwie w słońcu, jego cienki jak ogon jaszczurki koniec ginał w szuwarach. Po drugiej stronie jeziora czerwieniły się znajomo dachy ceglanych domów. Przymknęła oczy. Za godzinę będzie w domu. Nareszcie w domu.

- Skąd Litwini wracali? - Z białej, sfatygowanej furgonetki wychyla się w stronę Joanny uśmiechnięty, krótko przystrzyżony mężczyzna.

- Z nocnej wracali wycieczki - rzuca wyrwana z zamyślenia dziewczyna.

- A wracali do Jagiełkowa? Jeśli tak, to podwozę. - Uśmiech kierowcy jest serdeczny.

- Mam bardzo ciężki plecak, sama też nie jestem piórko, nie wiem, czy pana maszyna sobie poradzi - żartuje. Chce zyskać na czasie. Waha się, czy wsiąść do środka. Facet jest przecież nieznajomy. Joanna kalkuluje: doskwiera jej jakieś dwadzieścia pięć stopni w cieniu, siedem kilometrów do przejeżdżania i pewnie z piętnaście kilogramów na plecach.

Tylko Anioł Stróż mógł usiąść za kierownicą i jechać akurat do fagiełkowa. Ale czy Anioł Stróż może być tak nieprzyzwoicie przystojny? I dowcipny?

Jeszcze się waha, ale zmotoryzowany anioł już stoi przy niej, już ściąga plecak z jej pleców, już otwiera drzwi samochodu i pomaga wsiąść do środka.

- Pani jest pewnie z Warszawy? I pewnie przyjechała na wakacje?

- Dlaczego?

- Bo jakieś piętnaście minut temu przyjechał pociąg z Warszawy właśnie, nie uszła pani daleko. A ktoś stąd nie odpowiada Mickiewiczem.

- A, rzeczywiście, ma pan rację. Zapomniałam, że tu mieszkają sami analfabeci. Jedyne Mickiewicz, którego znają, to sołtys, tyle że ma na imię Tadeusz - odpowiada kąśliwie Joanna.

- Przepraszam, nie chciałem pani urazić. Nie wiem, jak to określić, żeby głupio nie zabrzmiało. Pani nawet wygląda inaczej niż dziewczyny tutaj. One nie noszą traperów i krótkich spodni z dżinsu, jak pani, tylko spódniczki i wysokie obcasy. No i nie zakładają swetrów w taki upał.

Dziewczyna czuje, że się rumieni i trochę jest na sobie za ten rumieniec zła. Naciąga przydługi sweter na gołe uda i kolana.

- No dobrze, zgadł pan. Nie jestem stąd. Przyjechałam tylko na wakacje. A sweter musiałam założyć, bo to najnowsza moda w Warszawie. Wie pan, taka ekstrawagancja - o, to też słowo zarezerwowane tylko dla stolicy - sweter w upał. Im grubszy tym lepszy.

- Pani na serio z tym swetrem? - Nieznajomy docieka z całkiem poważną miną.

- Jak najbardziej. A teraz może mnie pan wysadzić. Już prawie Jagielkowo. Pan pewnie jedzie nad jezioro, a ja w przeciwną stronę.

Dziękuję i do widzenia.

- Do widzenia, mam nadzieję, do widzenia! I życzę udanych wakacji.

Furgonetka odjeżdża, a Joannie nie wiadomo czemu robi się w tej samej chwili trochę smutno.

I po co byłam taka złośliwa? A zresztą, co mnie obchodzi ten facet?

- Już na wakacje? Pewnie masz dość tej nauki, a i mama się ucieszy, bo ciężko jej z małymi. - Jesionowska, chuda jak patyk i przygięta do ziemi bardziej niż wtedy, gdy Joanna widziała ją ostatnim razem, wysunęła się cicho jak cień zza pochylonego tak samo nisko, jak jego właścicielka, zmurszałego płotu, który już tylko udawał, że odgradza dom od ulicy.

Joanna nie znosiła tych ciekawskich spojrzeń i wypytywania.

Zaczynało się zwykle już przy pierwszej chałupie. Nim doszła do domu, wiedziała, że ich kurę rozjechał samochód, Wojtek wybił piłką szybę sąsiadowi, a na obiad będą placki ziemniaczane.

Ale widok kobiety rozczulił ją. W domu mówiło się o niej zwykle babcia Jesionowska. Przyszywana babcia zajmowała się kiedyś dziewczyną i jej starszym bratem. Przez kilka lat mieszkali pod jednym, co prawda dziurawym, ale zawsze dachem. Dzielili ich tylko zimna, ciemna i wilgotna sień. Pamięta, że gdy tylko wprowadzili się do tego domu, a miała wtedy dwa lata, nazwała Jesionowska „sąsiadką”.

„Sąsiadce” takie spoufa-lanie się smarkuli nie przeszkadzało. Była z niego wyraźnie zadowolona. Potem wołała często dziewczynkę na talerz zupy do swojej kuchni. Joanna brała wielką łyżkę i jadła gorący krupnik, zagryzając pajdą chleba. Starła się szybko opróżnić talerz i wybiec na podwórko. Bała się Starego. Tak wszyscy nazywali ojca Jesionowskiej.

Wyglądał jak stuletni zasuszony grzyb. Mało mówił. Może nic nie mówił.

Chodził zawsze w jednym i tym samym swetrze, któremu co jakiś czas przybywało kolorowych łat, i miał siwą brodę. Bębnił palcami po gorącej, poskręcanej rurze wystającej

z kuchennego pieca, mamrocząc coś pod nosem nieustannie, a były to pewnie tajemnicze i złowrogie zaklęcia. Na wszelki wypadek Joanna i jej brat unikali go jak ognia.

Teraz sama śmieje się z tych strachów Babcia Jesionowska dziś jest starsza od Starego. Patrzy zza grubych szkieł okularów i nie zrażając się brakiem odpowiedzi, gdera pod nosem:

- Co będziesz miała z tej nauki? Jeździsz z tym wielkim plecakiem wte i wewte. Potrzebne ci to, dziewczyno? - rzuca na odchodne i znika za płotem.

Joanna uśmiecha się, zamiast odpowiadać, wzrusza tylko ramionami. Poprawia plecak, zagląda do przydługiego rękawa wyciągniętego swetra, jakby chciała z nim porozmawiać i rusza dalej.

Spogląda na potężne drzewa posadzone nie wiedzieć kiedy - może jeszcze za Niemców - po obu stronach szosy Przez głowę lecą wspomnienia.

Są gęste, zielone i poplątane, jak te gałęzie u góry Joanna wzdycha do drzew i do siebie samej.

Przyzwyczała się już do tego, że każdy w Jagiełkowie na jej widok dziwił się głośno. Najpierw, że nie chodzi na dyskoteki i na ogniska mocno zakrapiane słabym winem. A przecież o tych ogniskach jej koleżanki z klasy za każdym razem rozmawiały z wypiekami na twarzy, licytując się, którą chłopaki zaproszą, a którą - nie daj Boże - bidulę pomina. Joannę zaczęli pomijać szybko. Miała święty spokój.

Dziwili się potem, że zamiast do zawodówki poszła do liceum. A ogólnowioskowe zdziwienie sięgnęło czubków najwyższych w okolicy drzew, gdy gruchnęła wieść, że Joanna wyjeżdża do miasta, i to do nie byle jakiego miasta, bo do samej stolicy Na studia. Tego jeszcze w ich Jagiełkowie nie było.

Pół wsi dociekało, po co jej uniwersytet. Przecież to kosztuje. Byli tacy co próbowali liczyć ile. Nie mogli dojść, skąd rodzina weźmie pieniądze na jej naukę. No i jak im się to zwróci.

W Jagiełkowie uczono się, owszem, w końcu to dwudziesty pierwszy wiek, na rolników, fryzjerki i cukierników. Zdarzyły się nawet dwie matury: jedna wieczorowa, a druga zdobyta w pocie czoła w najprawdziwszym liceum.

Joanna marszczy nos i wzrusza ramionami. Zagłąda do rękawa swetra i przemawia do niego łagodnie. Na powrót poddaje się myślom, które jakby uwzięły się, żeby w ten piękny słoneczny dzień zasnuć jej głowę ciężkimi chmurami.

Nie wie jeszcze, czy przyczyni się do „podniesienia poziomu wykształcenia ludności wiejskiej”, co jest „niezbędne i konieczne”, a o czym trąbią wszyscy mądrzy ludzie w tym kraju, i czy skończy studia. Wie za to na pewno, że jeśli kiedyś urodzi dzieci, nie nazwie żadnego ani światowo brzmiącym imieniem Patryk, ani Kariną, a już na pewno nie Sandrą, jak to zrobiła jej jagiełkowska, trochę tylko starsza koleżanka Kasia. Po mężu nazywa się całkiem nieświatowo - Miednica.

Rozważania przerywa gwałtownie pisk opon. Tuż przed jej nosem hamuje zielone auto. Joanna staje jak wryta.

- Może podwieźć panienkę? - Głos zza kierownicy pobrzmiwa wyraźnie nutą niczym nieuzasadnionej poufałości. Wtórjuje mu hałaśliwe łupu-cupu z głośników i nieskrępowany zupełnie rechot podgolonych pasażerów, którzy wypełniają auto.

- Eee, to pani studentka, do poloneza nie wsiądzie - kierowca odpowiada sobie i kumplom zarazem, po czym odjeżdża z nieodzownym piskiem opon, ciągnąc za sobą muzyczny łoskot.

No, to jestem u siebie. Kolejny raz poprawia plecak i zagląda do rękawa. Polonezowa banda wytrąciła ją z błógiego spokoju. Nie zna ani kierowcy, ani pasażerów. Domyśla się tylko, że są z niedalekiego pegeeru.

Bo jej Jagiełkowo jest wsią po prostu, a sąsiednie Mańki - pegeerem.

Pegeer wyróżnia się ponurą zabudową betonowych bloków. Kaleczą swoim wyglądem okolice tak, jak trądzik kaleczy nieskazitelną cerę nastolatki. Mieszkańcy Maniek, zwani powszechnie i bez cienia sympatii przez wszystkich wkoło pegeerusami, wyróżniają się nadmiarem wolnego czasu i zupełnym brakiem pieniędzy Są doskonale rozpoznawalni jako grupa. Pojedynczych osobników Joanna nie zna.

Ją za to znano w okolicy, mogłaby śmiało konkurować z bohaterkami telewizyjnych seriali.

Bo to, że jagiełkowska dziewczyna studiuje na uniwersytecie, jest komentowane w sklepie, w dyskotecie, na polu i pod kościołem.

Komentowane zazwyczaj w duchu smutku i zadumy

Sąsiadki martwią się w głos, że Joanna ma już dwadzieścia dwa lata, a męża albo choćby nawet byle jakiego kandydata na męża ani wida, ani słyhu. Szybko rozgrzeszyły Kasię z tego, że nie wie, kto został ojcem jej Patryka. Ale Joanny z trzymania się na uboczu nie rozgrzeszą pewnie nigdy.

- Wasza to jakaś harda jest - zwierają się co pewien czas matce Joanny - Z chłopakami jej nie widać. Do naszych dziewczyn nie przychodzi, nie porozmawia z nimi. Niech sobie nie myśli, że jest lepsza.

Kto to widział tak nosa zadzierać.

Joanna zanadto nie przejmuję się tym gadaniem, ale matka, owszem. Zwykle ich rozmowy o zatroskaniu sąsiadek stanem ducha jedynej starej panny w Jagiełkowie kończą się

kłótnią. Matka namawia, by choć dla świętego spokoju poszła na sobotnią dyskotekę w świetlicy A ona dostaje gęziej skórki na samą myśl o tym, że musiałyby wywijać w takt „Majteczek w kropeczki”, które od ilu to już lat niepodzielnie królują na podwórkach sąsiadów

Joanna wspina się po rozgrzanym asfalcie na niewielkie wzniesienie i mija stojącą po lewej stronie jezdni świetlicę. To jedyny symbolizujący cywilizację, jaśniejszy punkt na mapie Jagielkowa.

Dwuizbowy budynek zbudowali własnymi rękami sąsiedzi. W szczerym, nieskażonym zupełnie socjalistycznym ruchem czynie społecznym nowych już czasów.

Joanna wymachuje groźnie w jej stronę pięścią i mruczy pod nosem: - Raczej zostanę starą panną, niż przyjdę do ciebie!

Dobrze, że nikt mnie nie widzi.

Zaraz za świetlicą stoi drewniany krzyż. Joanna zwalnia kroku.

Spogląda w górę. Krzyż zdobią plastikowe kwiaty. Z ramion zwieszają się kiedyś kolorowe, a dziś wypłowiałe już mocno, wstążki. To babcia Jesionowska skrzykuje parę sąsiadek, by wymienić kwiaty na nowe i poprawić wstążki. Wyrywa chwasty z małego kwadratu ziemi ogrodzonej drewnianym płotem. Joanna przypomina sobie coroczne majowe.

Właśnie tak: nie nabożeństwo majowe, tylko „majowe”.
- Idziesz dziś na majowe? - pytała Joannę Baśka z naprzeciwka.

Biegły razem w stronę gromadnego śpiewania. Kobiety w chustkach na głowach klęczały wokół płotu. Tylko jedna z nich była za uchyloną furtką, tuż pod krzyżem. Intonowała pieśni i czytała litanię, która w uszach Joanny brzmiała jak poezja. Joanna wyobrażała sobie wtedy, jak może wyglądać na przykład taka Wieża z kości z słoniowej albo Dom złoty, albo

Róża Duchowna. Z zamyślenia wyrwał ją szturchaniec Baški.

- Popatrz, Witek patrzy w naszą stronę - chichotała pod nosem i spuszczała głowę. Majowe było zawsze dobrym pretekstem, żeby na pół

godziny wyrwać się z domu, poszeptać z koleżankami, poprzerzucać się zaczepkami z chłopakami.

A dziś? Dziś nawet te dwie czy trzy kobiety, które kiedyś intonowały pieśni, przestały śpiewać litanie, bo oprócz nich nikt pod krzyżem się nie pojawia. - Daj spokój, to obciach! - Baška kiedyś bardzo prosto wytłumaczyła Joannie, dlaczego w Jagielkowie nie ma już majowego.

Joanna przyspiesza kroku, choć plecak ciąży jej już niemilosiernie.

- Mamo, mam, przyjechała! - Pierwszy jest Wojtek. Rzuca rower i pędem biegnie do siostry O mały włos nie przewraca Joanny próbując na nią wskoczyć. Joanna ostrożnie, jedną ręką, przytula brata. Wchodzi na podwórko i zrzuca ciężar z pleców.

- Co nam przywiozłaś? Co nam przywiozłaś? - Brat skacze wokół siostry i plecaka.

- Ufoludka! - odpowiada z powagą. - Siedział w pociągu, cały zielony i wystawiał czułki w moją stronę, a w końcu wskoczył do plecaka.

Próbowałam go wyciągnąć, ale przyssał się do kieszeni. Siedzi tam i nie chce wyjść.

Wojtek ma oczy okrągłe ze zdumienia.

- I całą drogę z Mazurkowa śpiewał na całe gardło. Myślałam, że ogłuchnę - ciągnie z niewzruszoną miną, ale widzi już, że chłopiec przestaje jej wierzyć.

- Żenisz! - Nadyma policzki obrażony

Joanna drgnęła. „Żenisz” tak lekko i wprost wyfrunęło z

Wojtusiowych ust.

Żenisz? Oho, trzeba będzie z nim pogadać. Gładzi brata z czułością po czuprynie.

- Zawołaj Kasię i Basie, to pokażę wam, co przywiozłam.

Wojtekwbiegadodomu. Za chwilę jest z powrotem, z bliźniaczkami.

Dziewczynki tulą się do Joanny.

- Jak fajnie, że już przyjechałaś, nie mogłyśmy się doczekać, mama mówiła, że przyjedziesz na wakacje dopiero za dwa tygodnie, ale niespodzianka - paplają jedna przez drugą, a Joanna myśli, że dobrze być wreszcie w domu.

- Prawdziwe z was baby, nie możecie się nagadać! - Wojtek nie wytrzymuje. - No, co masz dla nas?

Joanna wkłada lewą dłoń do rękawa swetra. Dzieci otoczyły ją i patrzą w skupieniu na każdy ruch. Dłoń wędruje w okolice łokcia.

- No chodź, Wacek! - szepcze Joanna prosto do rękawa.

- Jesteś w domu, wylaź wreszcie!

Napięcie sięga zenitu, a wtedy nakazuje rodzeństwu:

- Zamknijcie oczy!

Trzy pary oczu zaciskają się posłusznie.

- A teraz możecie popatrzeć - mówi po chwili i trzy głowy równocześnie unoszą się w górę. Łaciate, czarno-białe zwierzątko z ruchliwym pyszczkiem i małymi oczkami błyszczącymi jak paciorki jest tak samo zdziwione jak dzieci.

- To jest Wacek. Tak naprawdę to dziewczynka - Joanna przedstawia zwierzaka zapatrzonej gromadce.

- Duża ta mysz - ocenia Wojtek. - I ma taki dziwny ogon. Jest całkiem łysy, o rany!

- To nie jest mysz, to szczur - wyjaśnia. - Domowy. Dzieciaki z wrażenia milkną, ale już po chwili małe ręce

dotykają nowego mieszkańca, pieszcząc go ostrożnie. Sypie się lawina pytań:

- Skąd go masz? Czym go nakarmimy? Nie gryzie? - Wojtek, Basia i Kasia pytają jeden przez drugiego.

- Wacek mieszkał w akademiku u mojego kolegi. Było im razem dobrze, bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili, ale Piotr wyjeżdża za granicę i nie może wziąć Wacka ze sobą. Dlatego potrzebny jest mu nowy dom.

Chyba będzie mu u nas dobrze, co?

- Jasne, że tak. - Wojtek nie ma najmniejszych wątpliwości. - Wacek będzie mój!

- Co ty powiesz?! - Dziewczynki żywiłowo bronią swojej pozycji. -

Asia przywiozła go dla wszystkich.

- Nieprawda, ja byłem pierwszy!

- Ale my się nim lepiej zaopiekujemy!

- Wy się na szczurach wcale nie znacie, a ja widziałem, jak polowali na szczura u Kowalskich. Był większy od kota. I nawet jak już wszyscy myśleli, że jest nieżywy, to on się wtedy podniósł i dobiegł do Kowalskiego, i ugryzł go w nogę, o!

- Wojtek, zlituj się, przestań wymyślać i lepiej pomóż mi wyjąć klatkę z plecaka. A wy przynieście spodek i mleko. - Joanna rozwiewa unosząc się w powietrzu awanturę.

Po chwili dzieci, z powrotem w wielkiej zgodzie, przyglądają się z widocznym zachwytem Wackowi. Ten, nieskrępowany zupełnie liczną publicznością, do której widocznie przyzwyczał go studencki żywot, gryzie ziarna słonecznika. Po obiedzie wskakuje do rękawa Joanny.

- O, widzicie, on bardzo lubi towarzystwo - tłumaczy rodzeństwu. -

Najlepiej czuje się w rękawie, bo może w nim wędrować. Lubi też siedzieć na karku, wtedy więcej widzi.

Tylko trzeba na niego uważać, żeby nie dostał się w łapy kotów. No, kto go chce teraz wziąć?

- Asia?

Z obórki wychodzi matka. Niesie wiadro z mlekiem i uśmiecha się.

Jest wysoka, wyższa od córki, tęga i ma zniszczone pracą ręce. Joanna wita się z matką. Czuć ją krową. Dziewczyna nie znosi tego zapachu. Nie znosi myśli o tym, że jej matka ma krowę. I oborę pełną gnoju. I ziemię. I psa na łańcuchu. Ale dzisiaj Joannę cieszy nawet łaciata Malina.

Wchodzi za matką do domu. Zrzuca bagaż w przedpokoju, zagląda do dużego pokoju. Na wersalce przed telewizorem leży Mirek. Joanna rzuca mu krótkie cześć i wchodzi do kuchni, do matki.

- Pewnie jesteś głodna, mam pomidorową, z ryżem, twoją ulubioną, chociaż dzisiaj się ciebie nie spodziewałam. - Matka krząta się przy kuchni. Cedzi mleko z wiadra, już czyste rozlewa do słoików, po które przyjdą wieczorem sąsiedzi. Temu litr, temu trzy, temu dwa. Podgrzewa zupę, stawia przed dziewczyną talerz, wyjmuje łyżkę i wyciera ją w fartuch.

- Mamo, zupa jest z mięsem?! - Joanna bardziej stwierdza, niż pyta.

- Nie. Na kości.

- To ja dziękuję.

- Myślałam, że nie rozpoznasz. - Matka jest trochę zawstydzona, ale za chwilę wraca na swoją pozycję. - Już daj spokój z tym wegetarianizmem. Cudujesz niepotrzebnie. Nie jesz kotletów to trudno, ale już nie wymyślaj z zupą.

Joanna patrzy w talerz i wie, że zupy nie przelknie. Matka też to wie. Przyzwyczaiła się i do tego dziwactwa najstarszej córki, ale łatwo się z tym nie pogodzi. Będzie ją nawracać na normalne jedzenie. Na kotlety, kielbasę i pasztet,

na gołąbki i bigos z mięsem, na szynkę i skwarki do pierogów, na rosół i pieczone udka z kurczaka. A najpierw będzie podsuwać zupę na kości.

Joanna wygładza na stole ceratę w czerwone wiśnie i obserwuje matkę. Już wie. Pomidorowa to drobiazg. Dobrze zna tę matczyną nerwowość, łomotanie garnkami. Wie, że choć matka o nic nie pyta, to dręczy ją myśl, dlaczego córka zamiast zdawać egzaminy, jest teraz w domu.

Ale tego dowie się dopiero wieczorem, kiedy Wojtek, Ba-sia i Kasia będą spać, a Mirek wyniesie się sprzed telewizora do swojego pokoju.

Na ławie lądują dwie szklanki z herbatą. I talerz z pachnącym ciastem. Dziś sobota, a matka piecze ciasto w każdą sobotę. Joanna podwija nogi i głęboko zapada się w fotel. Wgryza się w sernik. Boże, jaki pyszny!

- Takich delicji nie jadłam od ostatniego pobytu w domu.

- Wyobrażam sobie, co wy w tym akademiku możecie jeść. Suchy chleb? - zastanawia się matka.

- Oj, mamo, do chleba codziennie coś mamy Głodne gęby -

odpowiada dziewczyna żartem z akademika, a zmęczoną twarz matki rozjaśnia na chwilę uśmiech. I Joanna się uśmiecha, bo uśmiechniętą matkę widzi tak samo rzadko, jak ostatnio sernik.

Odkąd pamięta, matka była zawsze zapracowana, zaganiana.

Kiedyś, gdy była dzieckiem, matka zarabiała tylko w biurze. Gdy podrosła, do pracy biurowej doszła harówka w foliowych namiotach z pomidorami, rzodkiewką i sałatą. Sianie maleńkich ziarenek do skrzynek, zajmujących całą łazienkę. Potem przesadzanie roślin do namiotów Podlewanie, wyrywanie chwastów, zbieranie, wiązanie w pęczki, a w końcu

- targowisko. Praca przez cały rok.

Teraz jest trochę biura i trochę gospodarstwa. Do tego wszystkiego ich piątka. Matka zawsze uwijała się jak w ukropie w kuchni, przy praniu, gotowaniu. Najstarsza córka pomagała jej we wszystkim. Byłoby łatwiej, gdyby matka częściej się uśmiechała. Ale była chmurna i zasepiona. Dziewczyna czuła się dziwnie, gdy sama miała dobry humor albo gdy głośno śmiały się bliźniaczki czy Wojtek. To tak, jakby robili coś nieprzyzwoitego. Tak samo nieprzyzwoite było czytanie książek, kąpiel w środku dnia albo wyjście do koleżanki. Bo najważniejsza była praca, praca i praca.

Więc jak to jest, że teraz matka siedzi ot tak, przy stole i nie pędzi do prania, prasowania i cerowania dziurawych skarpet? I na dodatek się uśmiecha? Joanna przygląda się jej i widzi siwe włosy. Dużo siwych włosów i twarz z siatką zmarszczek {To już? Już ma zmarszczki?}. Szarą, zmęczoną twarz. Tak, matka jest po prostu zmęczona. Bardzo zmęczona.

- Jak ci poszły egzaminy? - Czeką na to pytanie i czuje, że krótka chwila beztroski uleciała bezpowrotnie. Jest jednak spokojna. Miała kilka godzin w pociągu na wymyślenie w miarę sensownej odpowiedzi.

- Nie zdałam wszystkich. Do dwóch będę podchodzić jesienią. Ci dwaj profesorowie, u których mój rok miał zdawać, pojechali razem na badania do Niemiec. I dziekan przedłużył nam wszystkim sesję. Mam ze sobą książki, będę musiała trochę się w te wakacje pouczyć - wyrzuca z siebie jednym tchem i czuje, że się rumieni. Nigdy nie umiała kłamać.

Dobrze, że matka zadowolona się odpowiedzią i nie dopytuje.

Joanna ogląda sufit. Niedźwiedź jest w tym samym rogu, co zwykle, śpi jak zawsze, zwinięty w kłębek. Kiedy przymknie oczy, widzi go dokładniej: kontury łba, brzucha i grube łapy.

Teraz nie ma wątpliwości.

Jest w domu, jest w swoim pokoju na poddaszu, z niewidzialnym dla zwykłych śmiertelników niedźwiedziem na suficie. Od kiedy pamięta, potrafiła wypatrzeć na wszystkich sufitach świata najrozmaitsze kształty. Nikt poza nią nie mógł dojrzeć na białych i nudnych płaszczyznach nad głowami tych chmur, księżyców, drzew, twarzy, kwiatów. Jej udawało się to, gdy była dzieckiem, i udało się dziś.

Włącza radio. Przebój za przebojem, łagodnie, w sam raz na noc.

Gasi światło, bo w ciemnościach myśli jej się lepiej.

A więc zaczęła wakacje. Te, wiedziała to na pewno, będą inne niż wszystkie. Bo te wszystkie były długo oczekiwane, wariac-kie, jak te ostatnie z szaloną kuzynką Martą i ich wyprawą autostopem do Włoch.

Rozpierała je fantastyczna energia i nieustanne oczekiwanie na przygodę.

Na coś, co się na pewno - skąd to wiedziały? - wydarzy. Za minutę, za godzinę, jutro. Dziś Joanna szuka spokoju, ciszy i wszystkiego, co pewne i spodziewane, nawet gdyby miało okazać się nudne.

Dziekan nie przedłużył sesji, a ona wcale nie ma zamiaru uczyć się do egzaminów.

Ne będę sobie więcej zawracała głowy żadną sesją, no chyba że fotograficzną, gdybym miała zostać modelką. Joannę tak ubawił żart z samej siebie, że parska śmiechem.

Od dłuższego już czasu dręczyła ją myśl, że uniwersytet nie był

wcale miejscem dla niej. Nie potrafiła jednak z niego zrezygnować.

Kropkę nad i postawiła tym razem, gwałtownie i niespodziewanie, pani Zefiryra, kierowniczką akademika.

Joanna nie ma nawet o to do Zefirynty specjalnego żalu. Wtedy pamiętnego czwartego maja, też by się na jej miejscu zdenerwowała. Bo na pewno trudno zachować spokój, kiedy z trzeciego piętra akademika lecą, płonące ogniem czerwonym i żywym, drzwi. Joanna nie miała co prawda żadnego wpływu na to, że były to drzwi pokoju 312, w którym od października mieszkała, i że zrzucali je akurat koledzy z jej roku. Do tego akurat w pokoju 312 urządzili imprezę z jej dwoma współspaczkami, bo koleżankami to one nie były, Joanna dziś nie ma najmniejszych złudzeń. I ona, Joanna, akurat wtedy wyjątkowo do imprezy się przyłączyła.

Pani Zefirynta nie miała co prawda pojęcia o tym, że to Joanna, choć po czterech piwach, broniła drzwi pokoju 312 niczym lew i kto wie, może uratowała od spalenia cały akademik, a przynajmniej jego trzecie piętro, co koleżanki i koledzy

Joanny poczytali jej za przejaw absolutnego braku wyluzowania.

Cóż, Zefirynta tego wiedzieć nie mogła, bo jej tam po prostu nie było, a późniejsze zeznania sąsiadów Joanny i jej współspaczek wcale nie były spójne. Tymczasem zamysł pani Zefirynty był jasny i klarowny: Joanny i dwóch pozostałych lokatorek nigdy więcej nie będzie ani w pokoju 312, ani w żadnym innym uniwersyteckim akademiku.

Kierowniczką nie dała się ubłagać nie tylko czekoladkami, ale nawet kosztownymi perfumami kupionymi na lotnisku, w strefie bezcłowej za pieniądze z błyskawicznej zrzutki pechowych lokatorek akademika.

Współspaczki poradziły sobie szybko, przeprowadzając się na stację. Joanna na stację pieniędzy nie miała. W ten to prosty acz skuteczny sposób pani Zefirynta przyczyniła się do końca jej edukacji.

Zresztą trwała ona już i tak długo, co przecież wytykali dziewczynie i jej matce sąsiedzi, pukając się przy tym wymownie palcem w czoło. A do tego edukacja owa przynosiła wiele duchowych rozterek.

Tak, powinna zrezygnować ze studiów już wtedy, gdy na pierwszych ćwiczeniach zwróciła się do wykładowcy przy całej grupie „panie profesorze”, a on zrugął ją, że jest „tylko” doktorem. A potem wezwał do mapy na której wschód złał się stremowanej świeżo upieczonej studentce w jedno z zachodem. Doktor zażartował, że pewnie nie wie - jak to blondynka - czy jej miasto leży na wschodzie właśnie, czy też na zachodzie. Po sali przebiegł chichot.

- A może pani pochodzi ze wsi? Rozumiałbym, gdyby to były inne czasy ale dziś nie ma już za to dodatkowych punktów - drwił dalej, zachłystując się swoim dowcipem. I tak ją Przypierał do muru, że cała czerwona wydusiła w końcu, że jest ze wsi. Doktorowi było mało. Zażądał

odpowiedzi, w ja-kiej to wsi kryją się takie talenty jak ona, Joanna.

- W Świniarach Wielkich, gmina Osłów Mały - wyrzuciła, Cała grupa leżała na ławkach, rżąc ze śmiechu, a Joanna wy. biegła z sali, trzasnąwszy z wielkim hukiem drzwiami. Popłakała się dopiero na korytarzu. Była sprawdzana na każdym ćwiczeniu. Zaliczała je cztery razy

Tamtego dnia Joanna poczuła się jak w podstawówce. W szkole w Mazurkowie, dokąd codziennie woził ją i garść dzieci z Jagiełkowa i Maniek autobus, był jasny podział. Siódma „A” to były dzieci z miasta. A siódma „B” - dojeżdżający: najpierw budą przyczepianą do traktora, potem autokarem, w końcu nysą. „B” znaczyło ze wsi, z pegeerów „B” -

znaczyło gorsi. Bez fletów i zeszytów w pięciolinie na lekcjach muzyki, bez farb na plastyce, bo na wsi dorośli do

takich fanaberii głowy nie mieli. Z

klasy „B” nikt nie chodził na chór i kółka zainteresowań. Bo autobus spod szkoły odjeżdżał do domu tylko raz, tuż po lekcjach, o tej samej mniej więcej porze, co PKS z miejskiego rynku, a pięć, siedem albo dziesięć kilometrów piechotą nikomu z klas „B” nie chciało się chodzić. Poza tym ci z klas „B” mieli w domu jak nie orkę, to sianokosy obrządek zwierząt albo w naj lepszym przypadku - pilnowanie młodszego rodzeństwa. To był tylko jeden podział. Drugi był jeszcze bardziej dotkliwy. Joanna pamięta doskonale, jak wychowawczyni, gruba pani Walusińska, wydawała w ich klasie polecenie:

- Teraz ręce podniosą uczniowie z rodzin wielodzietnych. Na początku podstawówki nie robiło to na niej wrażenia - było ich w domu dwoje, potem troje. I rodzina Joanny kwalifikowała się do tych normalnych, razem z tymi, gdzie było jedno albo dwoje dzieci. Problem pojawił się razem z narodzinami bliźniaczek. Pięcioro dzieci to w szkolnych tabelach była rodzina wielodzietna, co znaczyło gorsza. A więc gdy pani Walusińska kazała podnosić ręce dzieciom z rodzin wielodzietnych do góry wędrowała też ręka purpurowej ze wstydu i upokorzonej Joanny. Była teraz w jednym worku z Kluskami i Mrozami.

W każdej klasie ich tysiąclatki był co najmniej jeden złotowłosy przedstawiciel Klusków i tak samo przynajmniej jeden kędzierzawy mały Mróz. Było ich po szesnaścioro a może nawet osiemnaścioro. I mieszkali w jednej izbie, a ojcowie zamiast pracować, pili.

Ojciec Joanny pracował, a jej rodzina mieszkała w dużym domu, ale nic nie mogło zmienić tego, że pochodzi z rodziny wielodzietnej, że jest ze wsi.

I za każdym razem, gdy pytają ją, skąd jest, zanim

odpowie, czuje, że się rumieni. Próbowwała wszystkiego - kłamała, że mieszka w Mazurkowie (ma cztery tysiące mieszkańców i jest już miastem), żartowała, że korzenie jej rodziny tkwią w ziemiaństwie, mówiła, że matka ma farmę. Nic jednak nie mogło zmienić faktu, że czuła się gorsza.

Gdy dostała się na uniwersytet, myślała, że Pana Boga chwyciła za nogi, ale męczyła się coraz bardziej i bardziej. Zakuwała po nocach, a za dnia pilnowała dzieci i prasowała, żeby opłacić akademik. Na studencki luz nie miała ani czasu, ani chęci. Nie, Joanna zupełnie nie pasowała do rówieśników. Gdy oni przerzucali się nazwami zespołów i tytułami kultowych filmów, ona nie miała pojęcia ani o jednych, ani o drugich. Nie było tam nikogo z Jagielkowa, gdzie diabeł mówi dobranoc i gdzie śpiewa się majowe. A o tym Joanna nie chciała nikomu opowiadać. Ani o obórcie z krową, ani o psie na łańcuchu, ani o rzodkiewce i czwórce rodzeństwa.

Radio obwieszcza pierwszą po północy Gorsza Joanna zapala światło i wyjmując z szuflady swojego biurka gruby kajet. Pierwsza strona jest bogato zdobiona rysunkami kwiatów i liści ze wsi. Doktorowi było mało. Zażądał odpowiedzi, w jarodzina wielodzietna, co znaczyło gorsza.

A więc gdy pani kiej to wsi kryją się takie talenty, jak ona, Joanna.

Walusińska kazała podnosić ręce dzieciom z rodzin wielodziet-

- W Swiniarach Wielkich, gmina Osłów Mały - wyrzucanych, do góry wędrowała też ręka purpurowej ze wstydu i upoCała grupa leżała na ławkach, rżąc ze śmiechu, a Joanna wykorzystanej Joanny. Była teraz w jednym worku z Kluskami biegła z sali, trzasnąwszy z wielkim hukiem drzwiami. Popła i Mrozami. W każdej klasie ich tysiąclatki był co najmniej jekała się dopiero na korytarzu. Była sprawdzana

na każdy dzień złotowłosego przedstawiciela Klusków i tak samo przynajmniej w ćwiczeniach.

Zaliczała je cztery razy mniej jeden kędzierzawy mały Mróz. Było ich po szesnaście. Tamtego dnia Joanna poczuła się jak w podstawówce, może nawet osiemnastu. I mieszkali w jednej izbie.

W szkole w Mazurkowie, dokąd codziennie wozili ją i garś a ojcowie zamiast pracować, pili. Dzieci z Jagielkowa i Maniek autobus, był jasny podział. Siódmiu Ojciec Joanny pracował, a jej rodzina mieszkała w dużym domu „A” to były dzieci z miasta. A siódmiu „B” - dojeżdżający do domu, ale nic nie mogło zmienić tego, że pochodzi z rodziny najpierw będą przyczepianą do traktora, potem autokarem wielodzietnej, że jest ze wsi. w końcu nysą. „B” znaczyło ze wsi, z pegeerów „B” - znaczyło I za każdym razem, gdy pytają ją, skąd jest, zanim odpogorszą. Bez fletów i zeszytów w pięciolinii na lekcjach muzyki wie, czuje, że się rumieni. Próbowwała wszystkiego - kłamała, bez farb na plastyce, bo na wsi dorosli do takich fanaberii głośno że mieszka w Mazurkowie (ma cztery tysiące mieszkańców wy me mieli. Z klasy „B” nikt nie chodził na chór i kółka zain i jest już miastem), żartowała, że korzenie jej rodziny tkwią teresowan. Bo autobus spod szkoły odjeżdżał do domu tylko w ziemianstwie, mówiła, że matka ma farmę. Nic jednak nie raz, tuż po lekcjach, o tej samej mniej więcej porze, co PKS mogło zmienić fakt, że czuła się gorsza. z miejskiego rynku, a pięć, siedem albo dziesięć kilometrów. Gdy dostała się na uniwersytet, myślała, że Pana Boga piechotą nikomu z klas „B” nie chciało się chodzić. Poza tym chwyciła za nogi, ale męczyła się coraz bardziej i bardziej. Zaci z klas „B” mieli w domu jak nie orkę, to sianokosy, obrzą - kuwała po nocach, a za dnia pilnowała dzieci i prasowała, dek zwierząt albo w najlepszym przypadku - pilnowanie młód

- żeby opłacić akademik. Na studencki luz nie miała ani czasu, szego rodzeństwa ani c[^]cj Nie[^] joanna zupełnie nie pasowała do rówieśników.

To był tylko jeden podział. Drugi był jeszcze bardziej do - Gdy oni przerzucali się nazwami zespołów i tytułami kultotkliwy Joanna pamięta doskonale, jak wychowawczyni, gru - wych filmów, ona nie miała pojęcia ani o jednych, ani o druba pani Walusińska, wydawała w ich klasie polecenie: gich. Nie było tam nikogo z Jagiełkowa, gdzie diabeł mówi -

Teraz ręce podniosą uczniowie z rodzin wielodzietnych, dobranoc i gdzie śpiewa się majowe. A o tym Joanna nie chciała

Na początku podstawówki nie robiło to na niej wrażenia nikomu opowiadać. Ani o obórcie z krową, ani o psie na łań-

- było ich w domu dwoje, potem troje. I rodzina Joanny kwali -

cuchu, ani o rzodkiewce i czwórce rodzeństwa. fikowała się do tych normalnych, razem z tymi, gdzie było jed - Radio obwieszcza pierwszą po północy. Gorsza Joanna zano albo dwoje dzieci. Problem pojawił się razem z narodzina - Pala światło i wyjmuje z szuflady swojego biurka gruby kajet. mi bhzmaczek. Pięcioro dzieci to w szkolnych tabelach była Pierwsza strona jest bogato zdobioną rysunkami kwiatów i liści stroną tytułową. Tytuł Joanna wymyśliła sama, kiedy miała lat trzynaście:

„Zapiski szczerych wyznań prosto z serca” Wtedy wydawał jej się genialny, dziś wstydzi się go bardzo, ale postanowiła, że kartki nie wyrwie. To przecież dokument, tak jak te wszystkie maczkiem zapisane stronice, które nigdy nie miały być dziennikiem. Były raczej niemym konfesjonalem Notatki zaczęła prowadzić po powrocie z obozu harcerskiego, na którym zakochała się „do szaleństwa” (tak zapisała w

pierwszym zdaniu „Zapisków..”) w druhu zastępowym Jarku. I tak już zostało, pisze do dziś.

Wreszcie jestem, w domu. Tak za tym tęskniłam! Tak naprawdę tylko tu mogę być po prostu sobą, Asią. I chyba nie będę na siłę pchać się do lepszego świata. Tak mi się wydaje, Teraz. Pewnie jutro będę narzekać na żuli pod sklepem, koleżanki, z którymi nie mam tematu do rozmowy, na wścibskie sąsiadki. Na mamę, która wciska mi zupę z mięsem i udaje, że nie wie, o co chodzi. Na to, że nie mam tu żadnej bratniej duszy.

Ale tak samo jest tam. Żadnej bratniej duszy. Różnica jest taka, że tam czuję się gorsza, a tutaj - nie. Tu jestem po prostu inna. Może...

nawet troszkę lepsza. Bo tu przynajmniej robiły wrażenie moje świadectwa z czerwonymi paskami. A tam wszyscy mają więcej: certyfikaty z języków, zkompu-terów. Występy w kółkach teatralnych, pisanie wierszy. Mnie rodzice na żaden kurs nie wysłali. Do głowy im nie przyszło, że do życia może być potrzebne coś jeszcze oprócz szkoły.

Trudno, nie nadrobię tego i nie będę nic robić na siłę. Tak. Dziś myślę, że najlepiej będzie, jeśli nie wrócę na uniwersytet. Zamiast pisać konspekty na praktykę w podstawówce, gdzie Walusińska dalej robi listę rodzin wielodzietnych, rozejrzę się za jakąś pracę.

Joannę ogarnia senność nie do opanowania. Spokojna, że jutro najzwyczajniej w świecie pójdzie do ogródka pomóc matce, naciąga kołdrę pod brodę. Przez głowę lecą, przypomniane nie wiadomo skąd, słowa o łbie, który chowa pod koc, żeby przetrwać noc, byle do rana. A może jakoś inaczej?

W całej kuchni pachnie kakao. Naleśniki z serem znikają ze stołu w zastraszającym tempie, a mimo to bliźniaczkom nie

zamykają się buzie.

Opowiadają, jak to z powodu Wacka szalejącego w klatce nie mogły spać, a Wojtek przechwała się, że szczurek jadł mu rano z ręki. Mirka przy stole nie ma, bo od rana pracuje na budowie. Matka rozlewa mleko dla sąsiadów. Joanna wyprawia rodzeństwo na przystanek, z którego autobus zabiera rozkrzyczaną dzieciarnię do Mazurkowa, do szkoły.

Wracając, mija sklep. Nie cierpi tych paru chwil, kiedy musi przejść tuż obok geesowskiego przybytku. Wokół niego rozłożyli się zbratani jednym pragnieniem mężowie, wdowcy i starzy kawalerowie (rozwodnik w Jagielkowie jest tylko jeden, ale pod sklep nie chadza).

Dwaj bracia Baranowscy ledwo trzymają się na nogach. To rzadkość widzieć ich razem. Zwykle kiedy jeden orze pole, drugi odlicza dni odsiadki za skradzione krowy, ciągniki i zboże. Kradną wspólnie, ale tak się zawsze składa, że siedzą na zmianę, raz jeden, raz drugi, dzięki czemu ich owdowiała matka nie zostaje na gospodarstwie sama. Wino zawdzięczają staremu Jasińskiemu. Bo Jasiński ma kasę. Regularną kasę.

Rentę. Przepija ją w dwa dni. Ma wtedy kumpli bez liku i jest duszą towarzystwa. Ściągają do niego jak hieny kiedy tylko listonosz przynosi pieniądze. Stawia wszystkim. A przez pozostałe dwadzieścia osiem dni w miesiącu żebrze o łyk wina.

Teraz ociera rękawem usta i podaje butelkę Pawliniakowi Pawliniak ma trójkę małych dzieci i ekszonę pijaczkę bez górnych jedynek, od Joanny starszą tylko trochę. Siedzą razem chociaż po rozwodzie, i biją się zupełnie tak, jak przed rozwo dem, ale teraz mają przynajmniej oboje za co pić. Opieka daje zasiłek samotnej matce, no i są alimenty dla dzieci.

Funduje państwo, bo Pawliniak pracy nie ma. Chyba nigdy nie miał

Pawliniaki, jak jużwszystkie pieniądze przepiją, żywią

się tym co akurat złapie się w Pawliniakowe sidła w lesie.

Joanna rzuca w stronę sklepu ciche dzień dobry i spuszcza głowę, by nie reagować na zwykłe zaczepki. Pędzi do domu Zmywa naczynia.

- Aśka, mam prośbę - matka mówi w pośpiechu, szykując się do biura. - Zaniesiesz po południu mleko Kociołkowej; Prawie nie wychodzi z domu od tamtej pory, kiedy złamała nogę.

- No pewnie, że zaniosę.

- I jeszcze w jedno miejsce.

- Kto jeszcze zachorował?

- Nikt, tylko to specjalny klient. Mieszka w chacie pod lasem, wiesz, tej po Zielińskich.

- Jak to po Zielińskich? To ich już tu nie ma?

- Nie mówiłam ci? Syn zabrał ich do Gdańska, kupił im mieszkanie, a chałupę sprzedał warszawiakowi. Dziwak jakiś. Kto by tu się z własnej woli przeprowadzał? Płaci za mleko złotówkę więcej niż wszyscy, tylko muszę mu je zawieźć. Pojedziesz do niego?

- A co to w ogóle za facet?

- Nikt dokładnie nie wie. Nie pokazuje się prawie, nawet w sklepie nic nie kupuje. Mówią, że to artysta jakiś, ale ja tam nie wiem. Zostawiam mleko w skrzynce, którą specjalnie po to zawiesił na płocie i tyle. Bierze trzy razy w tygodniu po dwa litry. A dla Kociołkowej weźmiesz litr.

Poradzisz sobie z tym na rowerze?

- Mamo, przecież nie mam trzech lat.

Joanna wyprowadza rower z ganku, bierze słoje z mlekiem, pakuje do torby i jedzie. Nie, nie jedzie. Frunie.

Uwielbia jazdę na rowerze. Kiedyś z Mirkiem na składakach marki Romet (o góralach mogli tylko pomarzyć), a więc na składakach, z których tylko ten Mirka miał duże koła, a

ten Joanny - małe, urządzali sobie niedzielne wycieczki. Potrafili przejechać 70 kilometrów. Od kiedy studiuje, wsiada na rower bardzo rzadko. Tylko wtedy, gdy bywa w domu, i to nie zawsze. Teraz więc cieszy się tą jazdą. W zamyśleniu mija dom Kociołkowej i kilka kolejnych zabudowań. Hamuje dopiero za wsią.

Zawraca, zła na swoje rozkojarzenie.

Puka do drzwi i wchodzi do środka. Prosto do kuchni. Cała chałupa Kociołkowej rozbrzmiewa donośnie zdrowaškami. Kociołkowa, z przymkniętymi oczami, siedzi rozmodlona w fotelu przy stole. Joanna rzuca głośne dzień dobry, stawia mleko i natychmiast wychodzi. Nie chce przeszkadzać, ale nie tylko o to chodzi. Kociołkowa słucha na okrągło Radyja. Nie wyłącza odbiornika nawet w nocy, bo boi się, że kiedy rano włączy go na nowo, to już jej ulubionej stacji tam nie będzie, że zniknie w jakiś tajemniczy, a na pewno szatański, sposób. Dziewczynie zdrowaški wcale nie przeszkadzają. Nie lubi tylko dyskusji z Kociołkową.

- Słyszałaś? Tamci znowu rozkradli majątek narodowy.

- Którzy, pani Kociołkowa? - No ci, masoni.

- Jacy tam masoni, pani Kociołkowa!

- Jak to jacy, toż w radiu powiedzieli.

- No, ale tak dokładnie, to którzy? Zna pani chociaż jednego?

- A, z tobą to nie można porozmawiać nawet! Jakbyś słuchała radia, to wiedziałabyś dobrze. Wszędzie są, tu w Jagieł-kowie nawet. Oj, przydałoby się wam wszystkim posłuchać Radyja, a nie te) muzyki diabelskiej. Bo tam mówili, że jest taka muzyka, metal się nazywa czy inne żelazo, no szatańska ona jest po prostu.

- Pani Kociołkowa, niech się pani nie martwi. Ja tam metalu żadnego nie słucham.

Jak się Kociołkowa rozkręciła, to trudno było skończyć rozmowę o Radyju. Matka Joanny też nie lubiła tych dyskusji, ale miała sposób.

Mówiła codziennie te same słowa.

- Pani Kociołkowa; dziś naprawdę się spieszę, leczę, do widzenia! - I Kociołkowa codziennie jakoś wybaczała matce Joanny, że z nią o radiu nie chce pomówić. Ale jak już się - rzadko, bo rzadko - Kociołkowej napatoczyła Joanna, to staruszka nie popuściła, nie wypuściła swojej ofiary, dopóki nie stoczyła przed nią całej batalii z masonami, komunistami, wrogami narodu polskiego i niuejdzem, jak mawiała.

Tym razem się udało, uradowana jedzie pod las. Do chaty po Zielińskich są prawie dwa kilometry zwirową, krętą drogą, w którą zjeżdża z asfaltówki zaraz za Jagielkowem. Po obu stronach drogi ciągną się pola zamknięte pierścieniem lasu. Nie są płaskie. Wznoszą się nieco do góry, opadają, falują. Chata Zielińskich stoi z prawej strony, sama jedna, na granicy głębokiego wąwozu. Joanna pędzi z górki, skręca w prawo i sama nie wie, kiedy ląduje na ziemi.

- Cholerny piach! - klnie pod nosem, gramoląc się spod roweru.

Joanna sprawdza słój. Jest cały. Uff... Byłoby gadanie, gdyby wylała mleko. Ale i tak matka będzie dopytywać, co się stało, bo Joanna ma rozbite kolano. Syczy z bólu. Oblizuje usta. Słodkawy smak. Aha, rozcięła sobie wargę.

No, to sobie jazdę urządziłam. Wściekła wsiada na rower, ale jechać nie może. Spadł łańcuch. Głupi rower! Joanna bliska łez kopie niczemu niewinny składak. Do chaty jest jeszcze jakieś trzysta metrów. Utykając, prowadzi rower.

Chata jest drewniana, kryta czerwoną dachówką. Nowy właściciel nic w niej chyba nie zmienił. A nie, są okiennice. Zielone. I płot naprawiony. Joanna wstawia słój do skrzynki na

płocie i rzuca okiem na podwórko. Jest puste. Budy nie widać, psa też nie. Drzwi do chaty zamknięte.

Postanawia, że zajrzy tylko do środka przez okno i pójdzie sobie.

Otwiera furtkę w płocie, wchodzi na podwórko pochylona, stąpając po trawie na palcach. Zagryza wargi.

O rany, zachowuję się jak złodziejka. Prostuje plecy i przystawia nos do szyby. Mało widać, ale przestrzeń w środku nabiera kształtów, kiedy przytyka do głowy dłonie i odcina oczy od słońca. Nigdy nie była w domu Zielińskich, ale to, co widzi, to chyba pokój. Co za graciarnia! Całą podłogę zajmują jakieś rupiecie: drewniane stoły i krzesła, widać też dwie ogromne szafy, kołowrotki, maselnice, a nawet nieckę do ciasta.

Joanna czuje się trochę nieswojo. Lepiej już pójdzie do domu.

Odwraca się szybko od okna i staje jak wryta - w jej stronę biegnie wielkie psisko. W popłochu rzuca się w stronę ganku. Chwyta za klamkę. Drzwi ustępują. Wpada do środka w ostatniej chwili. Pies ujada wściekle, rzuca się na drzwi, dra-pie w deski. Na szczęście po drugiej stronie.

Oparta plecami o drzwi oddycha z ulgą i osuwa się na podłogę -

Serce wali jak młot. Ogląda ganek. To właściwie ganeczek, nie ganek. Jest maleńki i zupełnie pusty. Ma tylko jedno małe okienko.

Gdy szczekanie ucicha, uchyla trochę drzwi. Przez szparę widzi furtkę. Jeśli pies jest gdzieś dalej, zdąży do niej dobiec.

Otwiera drzwi szerzej, ale psisko jest na posterunku. Zrywa się w stronę intruza i szczyrzy zębiska. Zrezygnowana zatrza skuje drzwi i wraca do swojego więzienia. Naciska

klamki w drzwiach do mieszkania.

Zamknięte. A więc pan warsza wiak tu dopiero pozakładał zamki! Całe szczęście. Tylko jak ja mu się wytłumaczę?

Mija bardzo długa godzina. Potem druga i trzecia. Pies prze staje ujadać, ale nie rusza się z miejsca. Za każdym razem, gdy dziewczyna próbuje wydostać się z ganku, atakuje. Joanna, wściekła na siebie, nie potrafi powstrzymać łez.

Robi się ciemno. A jeśli ten facet wyjechał na wakacje? Rany boskie, może ktoś w domu wpadnie na pomysł, żeby mnie tu poszukać? Co robić?

Joanna się pomodli. Święty Antoni jest od rzeczy zagubionych, święty Krzysztof od kierowców, o, najlepszy będzie chyba święty Franciszek, w końcu potrafił dogadać się ze zwierzętami. Modły nie przynoszą skutku -

psisko czuwa.

- Święty Juda Tadeusz! - wykrzykuje głośno i stuka dłonią w czoło.

Musi pomóc, w końcu jest od beznadziejnych przypadków Joanna układa swoją własną litanię do świętego.

Budzi ją warkot silnika. Kolano boli wściekle, warga spuchła.

Zmarzła okrutnie na gołej podłodze.

Że też zachciało mi się sukienki w kwitnące groszki akurat dzisiaj.

Jej niedoszły oprawca szczeka radośnie. Wita swojego pana. Sądząc po odgłosach, tarzają się teraz obaj po ziemi. Joanna łomocze do drzwi.

- Halo! Halo, proszę pana! - krzyczy najgłośniej jak tylko może. - Ja tu jestem! Niech pan nie otwiera! Słyszysz pan?!
Niech pan nie otwiera i zabierze psa!

- A z kim mam przyjemność?

- Głos zza drzwi jest

całkiem sympatyczny i brzmi znajomo.

- Z Joanną, córką Wandy Marzec. Nie zna mnie pan jeszcze.

Przywiozłam panu mleko i...

- I chciała mi pani ugotować zacierki?

- Wszystko panu wytłumaczę, tylko proszę zamknąć gdzieś tego Burka.

- Reksa. Reksa.

Po chwili szczerzenie milknie.

- Dobry wieczór pani Joanno, córko Wandy! - Drzwi otwierają się na oścież, do ganku wchodzi wysoka postać z plecakiem w ręku.

Mężczyzna próbuje w ciemnościach otworzyć drzwi prowadzące do mieszkania. Wkłada kolejne klucze do zamka, a ma ich pokaźny pęk.

- Ciągle nie mogę się zmobilizować i wymienić żarówki, przepraszam, że tak długo to trwa. A swoją drogą, to miło, że ktoś na mnie czeka na tym odludziu. Właściwie jest pani wolna, proszę mi tylko powiedzieć, jak się pani tu znalazła?

- Opowiem wszystko ze szczegółami, ale skoro już poznałam pana ganek, niech mi pan pozwoli odwiedzić jeszcze jedno miejsce, łazienkę.

Dłużej nie wytrzymam, słowo daję, a zhańbiłam się już wystarczająco.

Drzwi otwierają się wreszcie, mężczyzna zapala światło w korytarzu.

- To pan? - Zdziwienie Joanny nie ma granic.

- To ja. Ładnie pani zaczyna swoje wakacje. Ratuje panią przed upałem, podwożę, serce na dłoni daję, a pani niewdzięczna odplaca się włamaniami? Narusza mir domowy? Kala moją męską samotnię, w której jeszcze żadna kobieca stopa nie Postąpiła? I do tego kłamie, że na Mazury przyjeżdża

tylko na wakacje, że jest z Warszawy? Boże, ale co się pani stało?

- Łazienka, błagam! - Joanna ze skrzyżowanymi nogami splata dłonie w błagalnym geście. i

Gospodarz prowadzi ją korytarzem do schludnego, jasnego i surowego przybytku.

- Wykroilem z kuchni, jeszcze niewykończona - wyjaśnił. Po chwili Joanna jest w dużej kuchni.

- Wiozłam panu mleko, ale na zakręcie wyrzuciło mnie z siodełka.

Rozbiłam kolano i popsułam rower. Ale mleko uratowałam. Chciałam umyć ręce, myślałam, że ktoś, to znaczy pan, jest w domu. To znaczy, nie wiedziałam, że pan to pan - tłumaczy coraz bardziej zawile i czuje, że już nie panuje nad swoją opowieścią, bo zanadto ciąży jej badawczy wzrok mężczyzny omiatającej jej kuso odzianą sylwetkę. Zaraz zrobię się czerwona.

Opowiada szybko dalej, by zamaskować, jak wpada w popłoch.

- Dopiero gdy wchodziłam do ganku, zorientowałam się, że na podwórku jest pies. Może być pan spokojny o dobytek z takim dozorcą.

Nie pozwolił mi nosa wytknąć zza drzwi. No, to pójdę już, bo mama na pewno bardzo się martwi. Przepraszam pana bardzo. Dobranoc.

- Nie zgadzam się. Nie puszczę pani w takim stanie. Ale przedtem przedstawię się. Tomasz Lewski.

Wyciąga rękę do uśmiechniętego gospodarza.

- Joanna Marzec. - Tomasz ściska dłoń, a potem, czego Joanna zupełnie się nie spodziewa, bo jest to gest staromodny i niespotykany całuje ją w rękę, zaglądając przy tym w oczy! Teraz dopiero zwraca uwagę na to, że jest od niej dużo, dużo

starszy.

- Mam apteczkę, zaraz opatrzę pani kolano. Proszę usiąść.!

- Mężczyzna krząta się w kuchni.

Joanna siedzi na krześle i nie może opanować drżenia.;

- Zimno pani. Nie pomyślałem. Zrobię herbaty Szkoda, że tym razem nie ma pani na sobie swetra. Dam pani swój. Będzie przyduży ale taka chyba jest ta warszawska, awangardowa czy też ekstrawagancka, moda?

- Przepraszam. Tak naprawdę to sweter był mi potrzebny, bo wiozłam szurka. A najlepiej mu się siedzi w rękawie. Nie chciałam wywoływać sensacji w pociągu. No i udało się, nikt się nie zorientował, że wiozę takie groźne zwierzę.

Wkłada ciepły sweter. Grzeje dłonie o kubek z herbatą. Tomasz przykłęka i obmywa kolano wodą utlenioną. Nakleja plaster. Joanna znów się rumieni.

- Gotowe! Teraz mogę panią zawieźć do mamy. Nie wiem tylko, co zrobić z tym - mówi i przykłada delikatnie palec do jej rozciętej wargi.

Joanna spuszcza wzrok.

Furgonetka zatrzymuje się przed bramą domu Joanny Tomasz pomaga jej wysiąść. Wyjmuje rower. Znosi pod dom i wraca po pasażerkę.

- Proszę się o mnie oprzeć. A jutro koniecznie z tym kolanem do lekarza. Nie wygląda dobrze. Za bardzo spuchło. Dobranoc! - I już siedzi w swoim samochodzie.

- Dziewczyno, gdzieś ty była? - Matka na dźwięk silnika wybiega z domu. Widząc córkę, blednie. - Aśka, co ci się stało?

- Asia, co się stało? Co się stało? - Za matką wybiegają Bliźniaczki i Wojtek. Chłopiec rzuca się do siostry - Jesteś ranna? Oprzyj się na moim ramieniu - mówi z bardzo poważną

miną.

Joanna parska śmiechem. Opowiada swoją historię zdumionej matce i rodzeństwu. Matka kwituje po swoimemu.

- Mam nadzieję, że pan Tomasz po twoim popisie nie zrezygnuje z mleka. Chodź coś zjeść. A wy do łóżek, jest późno. dzo poważną miną.

- Mam apteczkę, zaraz opatrzę pani kolano. Proszę usiąść J°anna parska śmiechem. Opowiada swoją historię zdu - Mężczyzna krząta się w kuchni. mionej matce i rodzeństwu. Matka kwituje po swoimemu.

Joanna siedzi na krześle i nie może opanować drżenia „Mam nadzieję, że pan Tomasz po twoim popisie nie zrezygnuje z mleka. Chodź

coś zjeść. A wy do łóżek, jest późno.

Zdaje się, że w zapyziałym Jagielkowie spotkałam zupełnie niezapyział ego, świetnego faceta. Niestety, z miejsca zmarnowałam okazję, by przedstawić się jako wyjątkowa, intrygująca i pełna wszelkich zalet, słowem - wspaniała kobieta, fakpech to pech.

Facet zaintrygował mnie już wtedy, w samochodzie, ale to było zaledwie parę chwil rozmowy o niczym. Oczywiście nie przyznałam się, że jestem wiejską dziewczuchą, udawałam warszawiankę. Poszło mi chyba nieźle.

A tym razem - absolutna kompromitacja. Zobaczył mnie w opłakanym stanie, jak okupowałam jego ganek. W roli ofiary losu, która nie potrafi jechać na rowerze, z rozbitą wargą, zapłakaną.

Facet ma na imię Tomasz (czy nie brzmi pięknie?), ma szare oczy, jest niesamowicie przystojny, dowcipny, inteligentny.

W chacie mieszka sam, uchodzi za dziwaka. Ma kolekcję wszelkich możliwych gratów z okolicy. Widziałam

przez okno pełno mebli staroci.

Kuchnia wygląda tak, jakby przeszedł przez nią tajfun. Ubrania na krzesłach, na podłodze, na kredensie. Koszulki jakieś, skarpety, chyba nawet majtki widziałam. Pod sufitem wiszą zioła, wiechcie traw, a do tego kielbasa, boczek, warkocze czosnku i papryki. Można by pomyśleć, że to chata znachora. Wszędzie pełno książek, no przecież drugiego takiego Tomasza w Jagiełkowie ze świecą się nie znajdzie.

Wcale się nie pogniewał za najście. Opatrzył mi nogę, użyzył

łazienki. Poczęstował herbatą z rumem na rozgrzewkę i odwiózł do domu.

To nie wszystko. Pożyczył mi sweter. Pachnie ładnie. Mężczyzną.

Tu Joanna przerwała pisanie i z nosem zanurzonym w szarym swetrze rozmarzyła się na chwilę. Na długą chwilę.

Mimo niesprzyjających okoliczności czułam się przy nim jakoś tak wyjątkowo, jak kobieta przy mężczyźnie. O, mam dobre słowo, czułam się zaopiekowana! Trochę jak małe dziecko, które nabroiło i któremu dobrotliwie wybaczone. Kiedy patrzył na mnie, nie mogłam tego spojrzenia spokojnie wytrzymać. O rany, co ja tu plotę! Przecież się nie zadurzyłam? Zapomniałam o jednym, pewnie najważniejszym. Tomasz jest przynajmniej z dziesięć lat ode mnie starszy.

A jednak byłoby miło spotkać się z kimś takim od czasu do czasu i porozmawiać.

Następnego dnia Joanna pisze w kajecie, wpadając w rozmarzenie przynajmniej kilka razy. Piszę ręką prawą, a w lewej trzyma sweter, by nie wyjmować z niego nosa ani przez chwilę. Trzymanie nosa w swetrze pomaga jej bowiem wpadać w coraz to nową chwilę głębokiego rozmarzenia.

Co za dzień! Spałam prawie do południa. Obudziłam się

z kolanem spuchniętym jak bania i z rwącym bólem. Poczłapałam na dół. Jadłam śniadanie i - na szczęście - patrzyłam przy tym w okno. Przed dom zajechała biała furgonetka, a ze środka wysiadł nie kto inny, jak Tomasz.

Tym razem zdążyłam schować się do łazienki (byłam w koszuli nocnej).

Tomasz wszedł z mamą, którą widocznie spotkał na podwórku, do kuchni, żeby rozliczyć się za mleko. Ja w tym czasie ubrałam się, uczesałam i pociągnęłam rzęsy tuszem. Tak tylko, żeby nie było, że za każdym razem, kiedy się spotykamy, wyglądam niedorzecznie - a to w swetrze w upał, a to w cienkiej sukience zimną nocą, spocona albo rozmazana.

Powiedziałam grzecznie dzień dobry, a Tomasz od razu zapytał, co z nogą. Kiedy dowiedział się, że u lekarza nie byłam, natychmiast zaofiarował się, że zawiezie mnie do ośrodka w Mazurkowie. Mama protestowała, ale Tomasz nalegał. Żartował, że to przez jego psa, że mogę go pozwać do sądu, bo przecież pies mnie przemocą przetrzymał w chacie cały dzień i wieczór, no i dlatego nie mogłam od razu po upadku wybrać się do lekarza. W końcu mama ustąpiła, ale widziałam, że nie jest zadowolona.

No więc Tomasz zawiózł mnie do ośrodka. Lekarza nie było. Mój towarzysz uparł się, że zawiezie mnie do szpitala w Olsztynie. Zajęło to nam pół dnia. Nie powiem, żeby oczyszczanie rany należało do przyjemności, ale ze względu na towarzystwo Tomasza warto było.

Znowu był taki uczynny, troskliwy. Można się zakochać już w samym geście otwierania przede mną drzwi. I dobrze nam się rozmawiało. Wiem o nim trochę więcej. Rzucił Warszawę dla Jagielkowa, bo miał dość wielkomiejskiego zgiełku i szalonego tempa życia. Kocha Warmię i Mazury, las) i jeziora. Romantyczna natura. No i wiem też, skąd się wzię ły te

wszystkie graty w chacie po Zielińskich. Tomasz sam je przywiózł. Jeździ po okolicy, bliższej i dalszej, zapuszcza się w najmniejsze wsie i osady i kupuje, kupuje, kupuje. Komo dy, kredensy, łózka, stoliki i stoły, krzesła, zydelki, szafki, ze gary, żelazka z duszą, kołowrotki, fotele. A potem to wszystko czyści. Skrobie. Zalepia dziury wydłubane przez korniki. Maluje. Lakieruje albo nie. I sprzedaje w Warszawie. To jego sposób na życie, jestem pod wrażeniem. Zwłaszcza że po powrocie znowu szarmanckim gestem otworzył mi drzwi w samochodzie, pomógł wysiąść i odprowadził do domu. Mamie wytłumaczył, dlaczego tak długo to wszystko trwało. Na pożegnanie powiedział, żebym uważała na siebie. Oj, jestem pod wrażeniem i nawet różnica wieku mi w tym nie przeszkadza!

Joanna wciąga głęboko powietrze i parska jak żrebak. Przymyka oczy. Woda jest ciepła, mieni się czerwienią zachodzącego słońca. Joanna rozcina taflę wody, wyrzucając ramiona do przodu ruchem mocnym i spokojnym. Uwielbia płynąć prosto w gasnące słońce. Uwielbia jezioro wieczorem, kiedy zgiełk wakacyjnych plażowiczów nie świdruje w uszach, a brzeg jest pusty bez chłopaków z sąsiedztwa, sypiących grubymi żartami na widok dziewczyn w bikini.

Kiedy się ubiera, zaczyna zmierzchać. Wyciera powoli długie, jasne włosy. Jest w Jagiełkowie już dwa tygodnie, a dopiero drugi raz kąpie się w jeziorze. To przez kolano. Dopiero się zagoiło. Już się zagoiło, a Tomasza jak nie widać, tak nie widać. Od tamtego dnia, kiedy zawiózł ją do lekarza, nie spotkała go ani razu. Matka zawozi mu mleko, jak zawsze.

Dziewczyna nie wypytuje o niego, bo i po co rodzicielka ma wiedzieć, że Tomasz ją, Joannę, mocno interesuje?

- Cześć, Aśka! - Strzela jej prosto w ucho, aż

podskakuje. To Paweł

Bachowski, z sąsiedniego Makówka. Chodzili razem do podstawówki, do jednej klasy. Z literką „B” oczywiście. W szkole nawet się lubili. Na geografii siedzieli razem, za karę. Paweł był niegłupi, ale rozrabiał i wiecznie pakował Się w kłopoty. Siedzenie w jednej ławce z prymuską Joanną miało go wyleczyć ze złych skłonności, przynajmniej na lekcjach geografii. Efekt był odwrotny. W duecie z Pawłem zapominała o grzecznym zachowaniu wzorowej uczennicy. Rozmawiali głośno, chichotali bez przerwy, a ich wygłupy rozkładały niemal każdą lekcję. W

końcu zrezygnowany geograf rozsadził ich na dobre.

- Dawno jesteś w domu? ~ Dwa tygodnie.

~ Ja już tydzień u babci siedzę, bo się pochorowała, a jeszcze cię nad jeziorem nie widziałem. Wracasz do chaty? Odprowadzę cię kawałek.

Pewnie długo cię tu nie było, a obyczajnie trochę zdziczały. Co słyhać w wielkim świecie?

- A skąd ja mam to wiedzieć?

- No przecież tam jesteś. Pani studentka w Warszawie. Wielkie miasto, wielka kasa, wielki świat.

- Ani wielki, ani świat. Lepiej powiedz, co dzieje się tutaj.

- Też mamy swój wielki świat. Przyjechał tu gość z Warszawy. Kupił

chatę. Mówią, że jest nadziany, nie chodzi do pracy, jeździ tylko wte i wewte. Słyszałaś?

- Tak, matka wozi mu mleko - odpowiada Joanna spokojnie i nadstawia uszu.

- No widzisz jaśnie panna. Mleko mu wozić trzeba. Dziwny jest trochę, podwoził mnie kiedyś z Mazurkowa, wszystkich zresztą zabiera.

Tak dziwnie ze mną rozmawiał. Jak nauczyciel czy co. A czy mi się tu podoba, a że piękne jezioro mamy i lasy i że trudno to docenić, jak się ma na wyciągnięcie ręki takie cuda. No mówię ci, nawiedzony jest. Słucha jakiejś powalonej muzyki w samochodzie, musiałem go poprosić, żeby wyłączył ten swój sprzęt, bo nie wytrzymałem. Wycie jakieś takie, a on mówił, że to najszlachetniejsza trąbka na świecie że mistrz ciszy czy coś.

Miles Davis. Wtedy w chacie słyszałam właśnie Davisa\par - No i to, niestety, jedyna atrakcja w tej dziurze. Nie ma nawet żadnego obozu z harcerkami w okolicy - Paweł wzdycha ciężko. - Ty możesz sobie poszaleć przynajmniej w warszawce. No, spadam. Cześć!

- Cześć - odpowiada Joanna. Resztę drogi myśli o Tomaszu. W domu cisza. Nie śpi tylko matka. Prasuje. Joanna mówi do niej przepraszająco: - Woda w jeziorze była taka ciepła mamo, nie zauważyłam, kiedy zrobiło się ciemno.

Bez słowa bierze stertę ubrań, żelazko i maszeruje na swoje poddasze. Prasuje do północy. Nie cierpi praso-wania, ale matki nikt poza nią nie wyręczy.

To nie może być przypadek, że był pierwszą osobą, którą tu spotkałam, właśnie tu. Gdybyśmy spotkali się w Warszawie, on by mnie nawet nie zauważył, a ja jego też nie. Tu wyróżniamy się oboje. I tylko my.

Po słowach „tylko my” Joanna stawia kropkę. Poprawia ją.

Postanawia gorąco, że weźmie sprawy w swoje ręce. Jutro wyręczy matkę i zawiezie Tomaszowi mleko. Nie, lepiej pójdzie piechotą. Tym razem żadnych wpadek: lądowania na zakręcie ani siedzenia w ganku nie będzie. Joanna zasypia spokojna, wyobrażając sobie, że wejdzie do chaty Tomasza niczym niezwykłe zjawisko, w zwiewnej sukience, z

rozpuszczonymi włosami. Dobra jak anioł, piękna, tajemnicza i pociągająca. Pojawi się na moment tylko, a potem zniknie na tydzień, a Tomasz będzie o niej myślał i myślał.

Joanna zasypia lekko i radośnie.

- Aśka, wstawaj! - Z dołu dobiega wołanie matki. - Dziewczyno, jest dziesiąta, na litość boską, złaż wreszcie, zanim sklepy nam zamkną!

Joanna przeciąga się, wpada do łazienki i błyskawicznie ubiera.

Związuje włosy w koński ogon, zgarnia z podłogi ułożone w kostkę ubrania i bieliznę i zbiega na dół. Na śmierć zapomniała, że umówiła się z matką na zakupy w Mazurko-wie.

- No, nareszcie jesteś. Ile można spać? ~ Oj, mamo, mogłaś mnie obudzić. - Człowiek nie świnia. Jak się wyśpi, sam wstanie. ~ No to po co teraz narzekasz, że nie wstałam? Widocznie mUsiałam się wyspać.

Proszę, tu są poprasowane ubrania.

Matce robi się głupio. Niepotrzebnie nakrzyczała na córkę. Pewnie prasowała do późna. Joanna wybiega z domu.

- Dokąd idziesz?

- Do babci Jesionowskiej, po rower.

- Już pożyczyłam, możemy jechać.

Jadą obydwie, ale rozmowa się nie klei. Wyjazd po zakupy to wydarzenie. W Jagiełkowie matka kupuje tylko chleb. Resztę sprawunków załatwia raz na tydzień albo dwa w Mazurkowie bo jest taniej. Joannie żal matki. Taszczy rowerem kilogram) cukru, mąki, makaronu, proszku do prania, wędliny Nikt jej nie pomoże. Mirek zachowuje się w domu jak gość hotelowy Chodzi do pracy na budowę i nic go poza nią nie interesuje, Daje matce trochę grosza na życie i uważa, że to wystarczy Joanna denerwuje się na samą myśl o swoim

starszym bracie, Nie potrafi się z nim dogadać. Tak samo matka i młodsze rodzeństwo.

Kobiety skręcają na targowisko. Joanna ogląda całą gromadę samochodów na warszawskich numerach, która rozłożyła się wokół

placu, chociaż wakacje dopiero za tydzień. Nie są to polonezy ani fiaty, które przez okrągły rok królują na tutejszych drogach. Z tłumy, który tłoczy się między straganami, Joanna wyławia bez trudu właścicieli aut.

Ich wizytówki to koszulki Nike, buty Adidasa i czapki z daszkiem Reeboka. Kombinacja tych trzech napisów jest dowolna, może też być nieco zmodyfikowana i uzupełniona jakąś inną, równie pożądaną met-ką, której nie uświadczysz na mazurkowskim bazarze, wypełnionym odzianymi w sprane ubrania ze szmateksów miej sco-wymi.

Joanna nie rozumie wprawdzie dokładnie, po co takie halo o metkę na ciuchu, ale czuje podświadomie, że ten mały skrawek materiału może odegrać wielką rolę w życiu, ba, może zupełnie zmienić jego tor.

Uświadomiły jej to koleżanki z akademika, które rzuciły się na bluzkę Joanny z napisem United Colors of Benetton i krzyknęły z aplauzem „WOW!”. To „WOW!” rozlało się nie tylko na jej bluzkę, ale i na nią samą. Tego dnia (a był to koniec października, na pierwszym roku studiów) została dopuszczona do tajemnicy wspólnego kupowania ubrań przez jej koleżanki. Dała się wtedy ponieść emocjom i podniosłej atmosferze przymierzania kolejnych par dżinsów Słyszając ochy i achy koleżanek, kupiła sobie, śliczne co prawda, ale rujnujące absolutnie jej skromniutki budżet, levisy (długi spłaciła dopiero po roku, gdy dostała pierwsze w swoim życiu stypendium naukowe).

Wtedy to Joanna poczuła prawdziwą i szczerą radość z

przynależności do grupy rówieśniczej, o której przyszło jej się uczyć niedługo później. Metka z napisem Levi's była do niej, jak się okazało, świetną przepustką. Bluzka Benettona też, ale tylko dzięki tajemnicy.

Joanna kupiła ją bowiem na wagę, właśnie w szmateksie przy bazarku i zapłaciła zbyt mało, by mogło to zrobić wrażenie na jej koleżankach.

Joanna przeczuwała poza tym, że gdyby przyznała się, skąd ma bluzkę, pełne podziwu „WOW!” dla metki zamieniłoby się w niosące dezaprobatę dla Joanny „UUU!”.

- Aśka, czy ty śpisz? - Głos matki, której Joanna towarzyszy przez cały czas swoich głębokich rozmyślań, nosząc za nią jak automat uzupełniane ciągle nowymi dobrami siatki, jest wyraźnie znecierpliwiony. - Mówię do ciebie już trzeci raz. Wezmę to wszystko i pojedę na pocztę zapłacić rachunki. Pewnie jest kolejka, muszę zdążyć, zanim zamkną. Kup jeszcze duży olej, proszek i mąkę. I cukier. Będę na ciebie czekać pod Poczta.

Joanna kiwa głową. Matka jest świetną organizatorką. Trudno za nią nadążyć. Córka jest zawsze zbyt powolna i rozkojarzona, co matka wytyka jej niemal na każdym kroku, Zakupy załatwia jednak szybko. Chce jeszcze wpaść do sklepiku z ciuchami.

W bramie targowiska nadziewa się na nauczyciela z podstawówki. -

Dzień dobry! - mówi szybko, nie zatrzymując się, co ma oznaczać, że bardzo się spieszy Historyk odpowiada na powitanie, uśmiecha się i właściwie bardziej stwierdza, niż pyta. - No to co, Joasiu, widzimy się we wrześniu na praktyce? Masz już tremę?

- Tttak - odpowiada Joanna. Zgodnie z prawdą. Ma tremę, tyle że nie przed praktyką. Kiedyś będzie przecież

musiała powiedzieć swojemu nauczycielowi, że na praktykę nie przyjdzie. Że rezygnuje. Będzie musiała się tłumaczyć i odpowiadać na niepotrzebne pytania.

Stawia rower pod sklepem z różowym szyldem i wielkim napisem Zachodnia odzież używana. Rzuca okiem na kartkę w oknie z odręcznym hasłem jak z supermarketu: Promocja! Dziś kilogram po 3 złote. Chwyta siaty z zakupami i wchodzi do środka. Nie ma nikogo. Można spokojnie poprzebierać. Na wieszakach nic ciekawego. Joanna zabiera się więc do grzebania w wielkich skrzyniach. Zastyga, przekładając kolejny łaszek. Od drzwi dobiega brzmiące znajomo, gromkie i słoneczne: „Dzień dobry!”.

Tomasz.

W mig przypomina sobie swoje nocne postanowienia i jest zdruzgotana. Znowu nici. Nie ma ani zwiewnej sukienki, ani kusząco wijących się włosów, ani nawet tuszu na rzęsach (i po co tak się spieszyła?). Ma za to: trzy wyładowane zakupami toboły u stóp, po dwie pomięte koszulki w każdej ręce, znoszone spodnie i trampki na sobie i zbyt mało czasu, by gdzieś się schować. Stuka nogami w drewnianą podłogę. Nic. Nie chce się zapaść.

- Pani Joanna? A to spotkanie! - Tomasz idzie w jej stronę.

Znalazła pani coś ciekawego? Może wpadły pani w ręce dzinsy na mnie, takie do obcięcia, żeby z nich zrobić krótkie spodenki?

- Nie, nie, ja zresztą tak tylko weszłam, na chwilę. Niczego nie szukam. Umówiłam się tu z mamą, bo to dobry punkt orientacyjny, no i z nudów weszłam do środka. Właśnie wychodzę. Do widzenia - wyrzuca z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. Tak samo szybko chciałaby wyjść, ale najpierw musi zebrać z podłogi siatki. Mężczyzna udaje, że nie

widzi, jak Joanna wpada w popłoch.

- Ja też wychodzę. Jak tam kolano?

- Już dobrze. Została tylko blizna. Mogę wreszcie pływać w jeziorze

- odpowiada, a Tomasz bez słowa wyjmuje z jej rąk siatki. - Pani ma chyba zamiłowanie do dźwigania ciężarów?

- Mam zamiłowanie do korzystania z pana pomocy - odpowiada.

Chyba odezwałam się zbyt śmiało. Znów błęd.

- No to zapraszam do samochodu. Odwiozę panią do domu.

- Dziękuję bardzo, ale mówiłam już, jestem z mamą.

- Poczekam tu z panią na pani mamę i pojedziemy razem.

- Ale my jeszcze wybieramy się do jednego sklepu.

- No dobrze, kapituluję. Ale mam pomysł. Zawiozę do Ja-giełkowa chociaż te torby. Będzie ciężko wieźć je na rowerze. Postawię pod domem, jeśli nikogo nie będzie. Zgadza się pani?

- Trudno odmówić. W domu są bliźniaczki, na pewno już wróciły ze szkoły. Odbiorą zakupy. Dziękuję jeszcze raz. Nie wiem, jak się za to wszystko odwdzięczę.

- A ja wiem - z uśmiechem zawiesza głos, a Joannie ciarki przechodzą po plecach. - Proszę mówić mi po imieniu.

Joanna rozpromienia się. - Nie żąda pan wielkich dowodów wdzięczności. Joanna.

- Tomasz.

Wieczorem Joanna ciężko wzdycha, przewracając kartki pamiętnika.

Znowu natknęłam się na Tomasza i znowu fatalnie wypadłam. Bo czy można zachwycić się kimś, kto jak ja grzebie w stercie ubrań w szmateksie? Jako kobieta jestem bez

szans. Znowu udawałam kogoś innego, bo wstydziłam się przyznać, że zaopatruję się w takim sklepie. A Tomasz musiał to zauważyć. Mimo wszystko był bardzo miły i uczynny.

Wziął ode mnie siatki z zakupami. Nieoczekiwanie przeszliśmy na ty. Kim on jest?

- Kaśka od Woźniaków znów jest w ciąży! - mówi na dzień dobry matka. Wiadomość przyniosła prosto ze sklepu razem z chlebem.

Joanna wzrusza ramionami. Jest to jest, Kaśki sprawa. Dlaczego matka nagle tym się interesuje? - W całym sklepie wrzało - opowiada matka. - Podobno ojcem wcale nie jest mąż Kaśki.

- Mamo, daj spokój. Masz za dużo wolnego czasu, żeby się tym interesować? - Joanna nie może się nadziwić. Kto jak kto, ale Wanda Marzec nie należała nigdy, ale to nigdy, do osób, które grzebały w cudzych życiorysach.

- Oj, mówię tak tylko, bo naprawdę huczało w sklepie - usprawiedliwia się matka, wykładając chleby Jest ich dokładnie pięć, bo dziś piątek, musi wystarczyć do poniedziałku.

- No dobra, to kogo tym razem usidliła?

- Pawła Bachowskiego, o!

Joanna o mały włos nie wylewa na siebie wrzątku do herbaty.

- Niemożliwe. Spotkałam go nad jeziorem. - I co, nie widać po nim, że jest w ciąży?

- Nie o to mi chodzi. Tylko nic nie wspominał.

- A miał ci się zwierzyć, że z mężatką się zadaje? Dzieciatą i starszą od niego?

Rzeczywiście. Dlaczego Paweł miałby się jej zwierzać? A swoją drogą, to rzeczywiście możliwe. Niby przyjeżdża opiekować się babcią, a tak naprawdę zajmuje się Kaśką. Kaśka

jest niebrzydka i niegłupia.

Gdyby nie jej wpadka, to pewnie byłaby trzecią w Jagielko-wie osobą z maturą. Kto wie, może nawet poszłaby na studia? Ale Kasia bardzo lubiła ogniska, te, których tak nie znosiła Joanna. I Kasia już w pierwszej klasie liceum pod kożuszkim - prezentem od matki, tak dumnej z licealistki, że zapożyczyła się na śliczny przyodziewek, by sprawić radość córce - skrywała z determinacją, ale bez sukcesu, rosnący całą zimę powoli, systematycznie i nieodwołalnie, brzuch. Na wiosnę o brzuchu - już pękatym i wielkim - trąbili wszyscy i to nie tylko w Jagielkowie. Dziewczyna poruszyła też Mazurkowo. W liceum wszyscy pokazywali ją sobie palcami. Pedagogiczne grono jednomyślnie zdecydowało, że uczennica-matka to za wielkie obciążenie i dla szkoły i dla samej Kasi. Decyzja mogła być tylko jedna - wyrzucenie ze szkoły. Nie to jednak pasjonowało najbardziej sąsiadki Woźniakowej. Gdy gromadziły się w sklepie, zastanawiały się głośno i bez skrępowania, czy Kasię czeka zamążpójście. A jeśli tak, to z kim. Bo Kasia, choć widać ją było często w towarzystwie różnych chłopców, nie paradowała po Jagielkowie z którymś z nich dłużej niż dwa tygodnie. Sąsiadki były zdezorientowane - najwyraźniej coś im umknęło i nie zdążyły zauważyć kolejnej zmiany warty

I wyglądało na to, że dziewczyna nie miała narzeczonego, który poprowadziłby ją - całkiem już okrągłą - do ołtarza. A najbardziej ekscytujące dla obserwatorek skromnego jagielkow-skiego życia towarzyskiego była myśl, że Kasia wcale nie wie, kto miałby na gwałt narzeczonemu zostać. Jasne, że powinien być nim ten, kto już jest ojcem.

Ale skąd ona ma to wiedzieć? Na ogniska przychodziły całe gromady dziewcząt i chłopców. I Kasia, która przecież nie stroniła od ogniskowego wina, mogła nie zorientować się, czy

kolega Marcin, który przywiózł ją na imprezę motorem, towarzyszył jej potem przy każdym łyku wina i spacerach dookoła ogniska. Wiadomo, że ogniska dymiły nocami, a spacery zataczały coraz większe kręgi. Najbardziej denerwowały się dwie sąsiadki Woźniakowej. Mama Marcina z motorem i mama Grześka bez motoru, który na ogniska biegał na piechotę. Woźniakowa nie była kobietą, co sobie w kaszę da dmuchać. Przechadzała się z podniesioną głową po Jagiełkowie, ze swoją Kasią u boku i jej rosnącym brzuchem.

Wbijają wzrok w matki chłopaków, jakby chciała prześwidrować ich głowy I dowiedzieć się, który córcię przeleciał. Sama Kasia milczała jak zaklęta.

Towarzystwo, które tak ochoczo gromadziło się wokół Kasi, kiedy była wiotka jak trzcina, rozpierchło się nie wiedzieć gdzie, gdy zaczęła się niepokojąco zaokrąglać. Czmychali od niej zwłaszcza koledzy Dziewczyny zresztą też. Jakby się miały od Kasi zarazić.

Latem w Jagiełkowie był jeden obywatel więcej. Patryk bez Ojca.

Joanna zaczęła liczyć: Kasia jest starsza od niej jakieś trzy lata. Ma już trójkę dzieci. Rafał, jej mąż, co trzeba mu przyznać, zachował się pięknie i dał nazwisko panieńskiemu synkowi Kasi.

Ale co zrobi teraz? Zostawi ją czy przygarnie czwarte dziecko?

Skoro już cała wieś wie, że nie jest jego, to i on się dowie. Oj, będzie się działo. Szkoda Pawła. Mimo wszystko wydawał się zawsze w miarę rozsądny a tu taki numer. Ostatnia szansa na towarzystwo zmarnowała się sama.

Po kuchni roznosi się zapach jabłecznika. Joanna wyjmuje gorące ciasto z piekarnika. W samą porę. Od drzwi słychać już podekscytowane głosy bliźniaczek i Wojtka.

Wpadają do domu w bluzkach lśniących bielą i machają świadectwami. Nawet matce udziela się niezwykajna atmosfera.

- No pokażcie, pokażcie je wreszcie - pogania dzieciaki.

- Jestem najlepszy, jestem najlepszy! Proszę! - Wojtek chwali się swoim świadectwem z czerwonym paskiem. - Dostałem nagrodę! W

pustyni i w puszczy.

Matka czyta drżącym głosem: Za bardzo dobre wyniki w nauce. Tuli Wojtka. Joanna też ściska brata.

- Pokaż, co masz z historii.

- Jasne, że piątkę - puszy się Wojtek. Kasia i Basia też mają się czym chwalić. Na świadectwach żadnej trójki. Nagrody za wzorowe sprawowanie i bardzo dobrą frekwencję. - Pani powiedziała, że my jesteśmy najgrzeczniejsze w całej szkole. I nie opuściłyśmy ani jednej lekcji!

- Szkoda tylko, że tata tego nie widzi. - Matka ma ściśnięte gardło. -

Zasłużyliście na nagrodę. Jutro wyjeżdżamy do babci Stasi.

- Naprawdę? - Kasia i Basia nie dowierzają. Wojtek biega wkoło i krzyczy na cały głos: - Hura, hura! Mamo, jesteś kochana. Na ile wyjeżdżamy?

- Na dwa tygodnie.

- Całe dwa tygodnie? Super! - Cała trójka jest uszczęśliwiona.

Joanna nakrywa do stołu. Obiad jest dziś trochę wcześniej. Po obiedzie - ciasto i lody. Przy stole wesoło, z wyjazdu cieszą się nie tylko bliźniaczki i Wojtek, ale i matka. Do rodzinnego domu pod Kielcami jeździ rzadko. Teraz na wyjazd namówiła ją Joanna. Zajmie się domem, matka może być o wszystko spokojna. Będzie radość dla dzieciaków i dla

dziadków. Do późnego wieczora trwa pakowanie. Jeszcze więcej czasu zajmuje Basi, Kasi i Wojtkowi zasypianie.

- Mamo, ile godzin jedzie pociąg do Warszawy? - docieka Wojtek.

- Cztery.

- A będziemy na dworcu jeździć ruchomymi schodami? - to dziewczynki.

- Jak będzie trochę czasu.

- A pociąg będzie z przedziałami czy bez?

- Z przedziałami. Ale już koniec rozmów, bo będziecie niewyspani! - Matka uspokaja niesforną trójkę już trzeci raz.

Gdy budzi ich o świcie, są półprzytomni. Joanna odprowadza matkę i rodzeństwo na przystanek PKS. Wraca do swojego pokoju i chociaż jest dopiero szósta, nie może zasnąć.

Cieszę się, że zostaję w domu sama. Właściwie z Mirkiem, ale on się nie liczy. Po pracy stapia się w jedno z telewizorem. Nawet nie widzi, co zjada, bo ciągle gapi się w to migające okienko. Gdybym znikła, nawet by nie zauważył. Bardzo mi to odpowiada. Rozejrzę się za pracę, jak ją będę miała, łatwiej mi będzie zakomunikować mamie, że nie wracam na studia. I napiszę wreszcie długi list do Jolki. Zwykle ma radę na wszystko i zna mnie dobrze, może i tym razem wymyśli coś dobrego?

Wieczorem Joanna wiezie mleko dla Tomasza, jeśli będzie w domu i zobaczę go, to znak, że powinnam nawiązać rozmowę, jeśli Tomasza nie będzie - to znaczy, że mam o nim zapomnieć.

Wstawia słój do skrzynki. Nie widać ani Tomasza, ani samochodu.

Trudno, jak znak to znak. Joanna odwraca się powoli plecami do chaty.

Wsiądzie na rower i pojedzie prosto w nowe życie. Bez

natrętnych myśli o Tomaszu.

- Joasia? Poczekaj! - Tomasz biegnie do bramki. Wygląda jakoś dziwnie. Joanna przygląda mu się bacznie. Jego twarz pokrywają ciemne plamy. Nie tylko twarz. Cały Tomasz wygląda tak, jakby wpadł pod ogon wielkiej krowy.

- O Boże, co się panu... Co ci się stało? - wydusza z siebie Joanna.

- Przepraszam za ten widok, ale bałem się, że odjedziesz. Nic mi nie jest. To tylko rodzynki.

- Rodzynki? - Wybuchły.

- To ja lepiej już pójdę. Nie nadażam.

- Kupiłem wczoraj książkę o domowych winach. Nie mam tu winnicy więc na pierwszy ogień wziąłem się za rodzynki. Wieczorem zmieliłem dwa kilogramy Zagotowałem. Wlałem do gąsiora. Przed chwilą poszedłem sprawdzić, czy wino nabrało już smaku tokaju. Gąsior był

trochę przytkany, więc musiałem go odblokować, żeby mógł swobodnie pracować. Nie miałem pojęcia, że siła eksplozji rodzynek sułtańskich może być taka wielka. Obsrało mnie od stóp do głów. I pół domu też.

Joanna nie może już dłużej powstrzymać śmiechu, Tomasz śmieje się także. - Wstąpisz na kawę? Podam, jak tylko pozbędę się tego z głowy.

Kuchnia jest w oplakanyam stanie. Siła rażenia rzeczywiście musiała być ogromna: rodzynki są wszędzie, na suficie, oknach, na podłodze i na meblach, strugi ciemnobrazowej cieczy zdobią malowniczo ściany.

Tomasz znika w łazience. Joanna wybiera sobie najczystsze miejsce w kącie dużej kuchni - To niewielki zydell tuż przy oknie.

Chata składa się z dwu dużych izb: kuchni i pokoju, który oglądała przez okno pamiętnego dnia, gdy zawitała tu po

raz pierwszy. Do tego niewielki korytarz i łazienka. Zastanawia się, gdzie Tomasz śpi. Może rozkłada łóżko w kuchni?

- Metraż jest nie za wielki, ale da się przeżyć. Sypialnię urządziłem na poddaszu, bo uwielbiam poddasza - odpowiada, jakby czytał w jej myślach.

Ja też uwielbiam poddasza.

- W pokoju, gdzie spali gospodarze, urządziłem pracownię. Pokażę ci wszystko, jeśli tylko masz trochę czasu, ale najpierw kawa. Lubisz z kardamonem?

- Nie wiem, nigdy nie próbowałam. - Pierwszy raz jest zupełnie swobodna.

Nie będę dziś niczego udawać. Nawet tego, że wiem, co to jest kardamon.

- Co to jest ten kardamon?

- Bardzo aromatyczna przyprawa. Używają go do parzenia kawy Arabowie. Dodaje energii i pobudza. Przepadam za kardamonem.

- W takim razie spróbuję.

Tłucze ziarna przyprawy w młynku, a Joanna przygląda mu się dyskretnie. Za nic nie może odgadnąć wieku Tomasza. Może ma lat trzydzieści pięć, a może czterdzieści? Widzi za to doskonale, że jest wysoki, ma mocne ramiona i brązową skórę. Wiele by dała, by przepaść w takich ramionach choć na trochę.

A na razie przepada w oparach kawy, którą gospodarz gotuje w niewielkim tygielku na gazowej kuchni.

- Gotowe! A teraz przeniesiemy się do kawiarni z widokiem. -

Tomasz chwytając dzbanek kawy i zapraszającym gestem wskazuje dziewczynie drzwi na drugim końcu korytarza. Kiedy je otwiera, Joanna nie może wyjść z podziwu. Od strony

Wąwozu, tam, gdzie zbiega jest bardzo strome, do chaty

przyklejony jest niewielki zadaszony taras z drewnianych bali. Stół udaje gruby na metr albo i więcej, ucięty nisko pień drzewa. Małe pniaki dookoła niego to stołki.

- Jak ci się podoba? To moje dzieło. Marzyłem o tarasie i oglądaniu zachodów słońca z tego miejsca.

- Jestem pod wrażeniem. Nie wiem tylko, czy bardziej poruszają mnie twoje zdolności budowlane, czy też usposobienie romantyka.

- Ech, wszystko mi jedno. Nawet jeśli miałby cię urzec sposób, w jaki wbijam gwoździe w deskę, jestem gotów wbić ich zaraz choćby sto.

Najważniejsze, że potrafię jeszcze kogoś poruszyć, bo już straciłem nadzieję - mówi Tomasz dziwnie poważnie i patrzy na Joannę tak długo, aż ta spuszcza oczy.

- Nic dziwnego. Mieszkasz sam i w dodatku na odludziu. Nie tęsknisz za towarzystwem?

- Ja jestem wilk samotnik, który nie potrzebuje towarzystwa.

- A kiedy jesteś chory? Masz gorączkę, leżysz w łóżku i nie marzysz o tym, żeby ktoś ci podał herbatę? - Staje się coraz bardziej dociekliwa.

- Kiedy mam gorączkę, nie myślę o herbacie, tylko leżę nieprzytomny, aż wyzdrowieję.

- To w takim razie, co ja tu robię?

- Pijesz ze mną kawę jako pierwsza kobieta na moim okręcie.

- To może ci przeszkadza? Zakłócam raz ustalony porządek?

- Broń Boże. Czasem nawet wilki samotniki potrzebują towarzystwa.

- Ach, więc chcesz mnie tylko wykorzystać? Powinieneś Przypomnieć sobie Małego Księcia. Nie wolno lekkomyślnie

oswajać lisa.

Bo jak się go oswoi, on potem, zawsze o tej samej porze, czeka w umówionym miejscu na spotkanie z Małym Księciem. I ma złamane serce, gdy Mały Książę nie pojawi się.

Tomasz spogląda na swojego gościa uważnie.

- Przepraszam. Wyraziłem się jakoś tak niefortunnie. Po prostu cieszę się, że cię widzę i chcę побыć z tobą w taki ładny dzień. Jesteś tu wyjątkową osobą, nie każdego chciałbym u siebie gościć.

Joanna znowu spuszcza oczy. Znowu się rumieni. To jakieś przekleństwo. Co mam powiedzieć? Co powiedzieć! Ta cisza jest nieznośna.

- Dlaczego Jagielkowo? Sam sentyment do Mazur to mało. Tutaj się nie przyjeżdża, stąd się ucieka.

- Aty?

- Ja? Ja przyjechałam tylko na wakacje, poza tym nie mam wyboru.

- Najłatwiej jest mówić „nie mam wyboru”. Każdy ma wybór. Ja na przykład wybrałem to miejsce. Wbrew wszystkiemu. Warszawa za bardzo mnie boli. Historia jest banalna. Miałem żonę. Miałem przyjaciela. I firmę. Przyjaciel był moim wspólnikiem. Okazało się, że przez trzy lata dzieliłem z przyjacielem nie tylko zyski, ale i żonę. Trzy lata byłem ślepy. Wyjeżdżaliśmy razem na narty i na żaglówki i nic nie wzbudziło moich podejrzeń, a powinno. Żaglówka była przyjaciela, dom letniskowy też.

Zarabiał więcej ode mnie, pracował nie tylko w naszej firmie, ale prowadził też jakieś dodatkowe interesy. Dopiero gdy niemal wszedłem na nich, gdy byli razem, potknąłem się o nich, spadły mi klapki z oczu.

Rozwód był łatwy i szybki. Z nią została moja córka, zostawiłem im mieszkanie i firmę, i zacząłem nowe życie.

Wróciłem do rodziców, próbowałem znaleźć sobie miejsce. Chciałem zapomnieć, ale to nie jest łatwe, gdy dotykasz tych samych znajomych, tych samych miejsc. To boli.

Teraz już nie, już jestem wolny. Mam w Warszawie kawalerkę po stryju.

Wynajmuję ją i to jest jakiś stały grosz. A tu zarabiam, jak ci już mówiłem, na starociach. Teraz dopiero robię to, co kocham, co chciałem robić zawsze, a do czego wstyd mi było się przyznać nawet przed samym sobą. Nie wypadało przecież panu inżynierowi, zawsze w garniturze i pod krawatem, skrobać szafy, stoły i komody, brudzić ręce farbą. A teraz widzę, że mój dawny przyjaciel oddał mi wielką przysługę. Wrócił mi wolność i radość życia. Mazury kocham od dziecka, przyjeżdżałem w te okolice z rodzicami co roku. Kiedy już postanowiłem, że muszę wynieść się z Warszawy, zerwać z całym moim dawnym życiem, nie zastanawiałem się wcale, dokąd pójdę. Wiedziałem, że to będzie gdzieś tutaj. No i jestem. Szczęśliwie dla mnie Zielińscy mieli dla odmiany dość Mazur i życia na odludziu. Trafiłem na ogłoszenie przypadkiem. Albo raczej - przeznaczone mi było trafić na ich ogłoszenie. Pożyczyłem trochę grosza i mam teraz dom na Mazurach. Z tarasem i widokiem na zachód słońca, no i ze stałymi zamówieniami na stare meble. Czy to nie prawdziwy happy end?

Tomasz znowu się uśmiecha. Joanna milczy. Zrobiło się zupełnie ciemno. I chłodno.

- Znowu nie zauważyłem, że marzniesz. - Tomasz zdejmując bluzę i pochyła się nad Joanną, otulając ją ciepła - Zmroziła cię pewnie moja historia. Naprawdę nie jest oryginalna. Wśród moich dawnych znajomych, tych, co mają około czterdziestki, jak ja, rozwody to chleb powszedni. Rozwody, wzajemna wymiana żon, mężów i dzieci. Śluby i

bezsłubia, zdrady i układy. Tu może jest tak samo albo podobnie, ale póki co nie wiem o tym, może nigdy się nie dowiem, bo chcę trzymać się na uboczu i jest mi z tym dobrze. Ale koniec z tymi smutnymi opowieściami.

Jaka jest twoja historia?

- Moja historia? Powiem tak: zdałam na studia historyczne, bo uwielbiam historię, ale to wszystko już historia. Nie będę cię gnębić datami zwrotnych wydarzeń. Na pewno nie dziś, bo zrobiło się bardzo późno. Muszę wracać. Dziękuję za kawę i za zachód słońca. Dobranoc. -

Jest gotowa do wyjścia.

- Nie puszczę cię samej nocą. Poczekaj chwilkę, znajdę tylko latarkę i możemy iść.

Ten dzień był niezwykły. Wreszcie udało mi się trochę dotknąć Tomasza. Dotknąć jego życia. Mam wrażenie, że stworzył sobie ochronny kokon. Nazywa się wilkiem samotnikiem, żeby trzymać mnie na dystans, ale czuję, że tak naprawdę jest bardzo spragniony drugiego człowieka. Ale boi się kolejnego ciosu. Każdy by się bał, gdyby zdradził go ktoś kochany i bliski. Poczekam. Postukam w tę skorupę, aż się porysuje i może nawet częściowo odpadnie. I wtedy zajrzę do środka. Bo ten środek jest mi już teraz bardzo bliski. Oboje lubimy to, co stare, co ma korzenie w przeszłości. Ciszę i jeziora. Brak ludzi. Milesa Davisa. Nocne spacerki.

Kawęczkar-damonem (zasmakowała mi bardzo). Poddasza. Nie lubimy zgiełku wielkiego miasta. Zdrad. Obłudy. Kotów. Szkoda tylko, że on ma czterdzieści lat. I córkę, i żonę. Była, co prawda, ale żonę. To nas troszkę dzieli. Mocno dzieli. To przepaść. Ratunku!!

Joanna odkłada kajet. Po chwili dopisuje.

Mimo przepaści on otulił mnie swoją bluzą. Gest nadużywany w filmach o miłości i w książkach o miłości, gest

wyświechtany mocno, a jednak nic nie poradzę na to, że o takim akurat gościu marzyłam od dawna. No i złapałam się. Rozstaliśmy się dwie godziny temu, a ja bez przerwy wspominam Tomasza, wieczór i moment, kiedy okrywa mnie swoją bluzą. Kiedy kończę, zaczynam to wspomnianie od nowa, jakby to były lata całe, a nie jeden jedyny zachód słońca.

Słońce grzeje niemiłosiernie kolejny już tydzień i lipy zaczynają kwitnąć wcześniej niż zwykle. Kiedy Joanna idzie w stronę jeziora, słyszy pszczoły buszujące w koronach drzew tak głośno, jakby miała je we włosach, a nie wysoko, wysoko nad głową. Te pszczoły i lipy, i zapadający powoli duszny wieczór wprawiają ją w dobry nastrój, chociaż dzień nie przyniósł nic dobrego.

Przed południem odwiedziła skansen w Mazurkowie. Potem ratusz.

Potem zataczała coraz większe kręgi wokół ratusza. Wstąpiła do kilku sklepów: spożywczego, z obuwiem, z ubraniami, do dawnej księgarni, w której dziś jest wszystko, mydło i powidło, tylko książek brak, potem do restauracji Tęczowy Pstrąg, która ładną ma tylko nazwę. Na koniec odwiedziła dom kultury.

Zdążyła być w tylu miejscach dlatego, że w żadnym z nich nie zabawiła dłużej niż kilka minut. Usłyszała kolejno: w skansenie, że nie szukają do pracy nikogo. W ratuszu, że może zostawić swoje CV ale szanse na zatrudnienie są nikłe. Tu przynajmniej spędziła trochę czasu, odsyłano ją od pokoju do pokoju, aż trafiła do sekretariatu samego burmistrza. W sklepach i w restauracji tylko dziwnie na nią patrzono, gdy opowiadała, że marzy o pracy w handlu (tak mówiła w sklepach) i w gastronomii (o czym zapewniała w restauracji). Miejski dom kultury był zamknięty na cztery spusty z powodu przerwy wakacyjnej.

Wróciła do domu zrezygnowana. Teraz jednak idzie nad wodę niemal radosna, pokrzepiona całkiem dobrą nowiną. Przed chwilą spotkała babcię Jesionowską. Podobno po ostatnim deszczu grzyby obrodziły jak nigdy dotąd. Skupują każdą ilość. Za niezłą cenę.

Dlatego teraz Joanna już się nie martwi. Jeśli nie znajdzie pracy w ciągu kilku dni, weźmie się do grzybobrania. Przecież uwielbia łązić po lesie, może to robić godzinami. Cicho. Spokojnie. Zielono i pachnie sosną.

Grzyby zbierała od dziecka. Tak. To naprawdę dobre zajęcie.

Przynajmniej na lato. I na jesień, jeśli tylko będzie trochę deszczu. No i, co równie ważne, oprócz pieniędzy będzie miała dużo czasu na szukanie pracy Joanna oddycha z ulgą. Ma jakiś punkt zaczepienia. Na - | wet, jeśli jest to tylko grzyb na jednej nodze.

Woda w jeziorze jest cudownie ciepła i spokojna. Joanna celebryje wejście do jeziora. Gdywoda sięga kolan, nie zatrzymując się na krok, zanurza w niej ręce, nabiera wody i polewa nią uda, biodra i brzuch.

Zanurzona po piersi wyciąga przed siebie ramiona i kładzie się na srebrzystobłękitnej tafli, rozcinając ją mocnym pchnięciem. Nurkuje. Gdy się wynurza, parska jak żrebak. Po chwili słyszy głośnie pluskanie. Ktoś za jej plecami wbiega z impetem do wody Joanna odwraca się, zła, że zakłócono jej spokój. Pływak rusza w jej stronę, najwyraźniej chce ją dogonić. Serce jej łomocze, przyspiesza, ale nie jest dobrą zawodniczką.

Tylko bez paniki. Chyba nikt mnie tu nie utopi. Pływak wykonuje kilka ruchów pod wodą i już jest przy niej.

- Dzień dobry! - Z jeziora wynurza się prychnący Tomasz. - Nie przeszkadzam?

- Szczerze? Trochę. Najbardziej lubię, kiedy w jeziorze jestem tylko ja i ryby, ewentualnie raki. Ale jakoś zniosę towarzystwo.

- Może będzie ci łatwiej, jeśli potraktujesz mnie w kategorii zwierzęcia. Do ryb i raków dorzuć byka.

Joanna parska śmiechem.

- Popłyniemy na drugą stronę? - proponuje Tomasz.

Mówi to takim tonem, jakby chodziło o przechadzkę po ogrodzie, a nie o walkę z żywiołem.

- Nie jestem dobrym pływakiem. Wiem, że brzmi to niewiarygodnie. Dziewczyna z Mazur, która kiepsko pływa, ale to fakt.

Przepadam za jeziorem i pływaniami, ale robię tylko krótkie rundki wzdłuż brzegu. Nigdy nie odważyłam się na to, by przepłynąć na drugi brzeg. Może gdybym płynęła obok łódki - zastanawia się głośno.

- Poradzisz sobie doskonale, tylko przestań się bać. - Tomasz nie ustępuje.

Jego pewność i spokój dodają Joannie odwagi. Zresztą zdążyli już oddalić się od brzegu na całkiem sporą odległość. Płyną dość wolno, w milczeniu. Joanna zerka na prawo. Minęli już dawno linię sitowia. Zaraz będą w połowie jeziora. Przeciwległy brzeg jest coraz bliżej. Joanna czuje zmęczenie, ale jest to zmęczenie do opanowania. Oddycha głęboko.

Za chwilę sięgną niewielkiego pomostu, który zbudowali wędkarze.

Tomasz wdrapuje się na deski pierwszy, pomaga wejść na górę Joannie.

Milczą przez chwilę zadyszani i uśmiechnięci, patrząc na ciągnące się pagórkami Jagieł-kowo.

- Byłem pewien, że sobie poradzisz - niemal uroczystą ciszę przerywa Tomasz. Spogląda na Joannę, a ona pod

ciężarem tego spojrzenia, trwającego jej zdaniem zbyt długo, zważywszy na miejsce (pomost na odludziu) i porę (słońce właśnie zachodzi), jak zwykle spuszcza wzrok.

- Zauważyłem cię już wtedy, gdy się rozbierałaś, ale zanim dotarłem nad brzeg, byłaś już w wodzie i nie chciałem ci przeszkadzać. Wyglądałaś na kogoś, kto zapomniał o całym świecie. I tak pięknie pieściłaś wodę w jeziorze... - Tomasz nachyla się w stronę Joanny i próbuje zajrzeć jej w oczy. Na próżno. Odgrodziła się od niego murem obronnym. Przepis na dobry mur obronny to nie widzieć przeciwnika. Dziewczyna patrzy w deski pomostu, patrzy i patrzy, cisza dzwoni w uszach.

Nie wiem, co powiedzieć, nie wiem, co robić. Panikuję, Czyli zależy mi.

Na szczęście towarzysz przychodzi jej z pomocą.

- Wracamy?

Joanna zgadza się na tę propozycję tak ochoczo, jak gdyby nie marzyła o niczym innym, jak tylko o powtórnym przepłynięciu jeziora.

Gdy pną się oboje w górę wioski, zapada zmierzch. W domach po obu stronach ulicy okna jarzą się żółtym światłem. Dziewczyna opowiada Tomaszowi o sąsiadach. Pokazuje dom Jesionowskiej.

- Kiedyś tu mieszkałam. Dach był dziurawy i kiedy padało, mama rozstawiała na podłodze miski i wiadra. Wyprowadziliśmy się do nowego domu, kiedy miałam sześć lat - opowiada i uświadamia sobie, że czuje się przy nim prawie zupełnie swobodnie, jak przy dobrym koledze.

Spotkałam Tomasza nad jeziorem przypadkowo. A może inaczej -

przeznaczenie zaprowadziło go nad wodę. O, to brzmi naprawdę poważnie. Dzięki niemu puściłam się może nie na wielką, ale na całkiem dużą wodę. Po raz pierwszy w życiu

przepląnąłam jezioro!!! To Tomasz odczarował moje lęki, dał mi odwagę i pewność, że wszystko w moich rękach. Wiele dałabym za to, żeby tę odwagę z wody przenieść w życie. W jutro.

Jutro przyszło, jak zawsze, jak setki razy w jej życiu. Joanna nie jest jednak ani odrobinę bardziej odważna, ani odczarowana, jak się jej zdawało jeszcze wczoraj wieczorem. Znów nie wie, co robić ze swoim życiem. Wracać na studia i zawalczyć o siebie, nawet trochę wbrew sobie, czy zostać w domu: No właśnie. Zostać w domu i co?

Dzień spędziła na szukaniu pracy i wie już na pewno, że tu jej nie znajdzie. Nawet dorywczej. Nawet jako pomywaczka. Zjeździła na rowerze nie tylko Mazurkowo, ale też ośrodki wypoczynkowe, które jak wielkie wieńce otaczały okoliczne jeziora.

Patrzy w czarne od nocy okno i lży kapią jej coraz szybciej, jakby chciały ścigać się z kroplami deszczu za szybą. Najgorsze jest to, że nie ma komu się pożalić, nie ma kogo spytać o radę. Mama nie zrozumie jej wątpliwości. Wzruszy tylko ramionami. Może wybuchnie, wygarnie jej, że zmarnowała dwa lata w mieście. I jej, matki, pieniądze, z takim trudem ciułane złotówki.

Gdyby był tu ojciec... Gdyby był tu ojciec, a dziś przecież dzień jego urodzin, powiedziałby córce, co robić. Ale nawet on ją zostawił. W Wielką Sobotę, między świątecznym sernikiem - tak, pamięta dokładnie, to był

sernik na kruchym cieście, ojciec chciał go spróbować, a ona, że jeszcze nie wystygł - a mazurkiem, ojciec upadł na podłogę.

Joanna pobiegła po pogotowie. Nie mogła sobie przypomnieć ani tego, jak ojciec się nazywa, ani ile ma lat, błagała tylko, żeby przyjechali jak najszybciej, ale kobiecy głos

w słuchawce był głosem urzędniczki, która przede wszystkim musi wypełnić formularz.

Gdy lekarz reanimował ojca, Joanna miała w głowie jedną myśl -

jutro, w szpitalu, opowie mu, jak strasznie wyglądał, nieruchomy i blady, uciskany mocno przez doktora. Po godzinie zastanawiała się, dlaczego ciągle nie biorą ojca do karetki. Nie wiozą do szpitala. Po dwóch sanitariusz i lekarz wstali. Lekarz wygłosił znaną regułkę „zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy”, mówił jeszcze coś o akcie zgonu, że można odebrać w ośrodku, i wyszedł.

Otak, po prostu wyszedł. A oni zostali z ojcem leżącym na kuchennej podłodze.

Tej nocy nie spała. Sąsiedzi ułożyli ciało na narach. Służyły za nie drzwi wyjęte z ram, oparte na kilku krzesłach w największym pokoju.

Joanna była przy ojcu. Płakała, kiedy razem z matką zdejmowały mu ubranie i kiedy obmywała mu twarz. Płakała, kiedy gładziła rękę ojca w przejmującej ciszy. Nie chciała uronić ani sekundy z tego czasu, który mieli jeszcze dla siebie, razem. Wiedziała, że burza głośnych lamentów babci i ciotek, sąsiedzkich modłów i gotowania bigosu na stypę zmiecie ostatnie chwile, gdy ojciec był jeszcze w domu. Jeszcze z nimi, choć umarli

Joanna nie wiedziała, że śmierć może przyjść wtedy kiedy wszyscy czekają na święta, kiedy w domu pachnie sernikiem. Nie wiedziała, że można umrzeć w kuchni. Na szmacianym chodniku. Bez pożegnania, bez ostatnich wskazówek i rad.

A te trzy miesiące bez ojca, miesiące, których miało nie być - bo jak mogą stawać się nowe dni bez kochanego człowieka - minęły tak zwyczajnie, jakby ich mały świat nie

runął.

Bez ojca wszystko było inne. Matka bardziej zapracowana i bardziej nieobecna. Mirek bardziej zamknięty w sobie. Wojtek bardziej dokazywał. A Basia i Kasia przestały śpiewać. Ona, Joanna, straciła nie tylko ojca. Straciła przyjaciela. To jemu zwierzyła się, kiedy dostała pierwszy okres. Wiedział o każdej ocenie w szkole i o jej miłościach z kolonii i obozów harcerskich. Cieszył się, gdy widział jej pasję czytania książek. Sam niewykształcony czytał wszystko, co mu w ręce wpadło. I powtarzał Joannie, że ma się uczyć dla siebie. Namawiał na studia i dodawał jej odwagi. Wiedział o rozterkach i wątpliwościach. Rozumiał.

Joanna ma oczy zapuchnięte od płaczu. Ledwo widzi, co jest na zdjęciach, których spora kupka urosła jej pod nosem, ale zagląda w kolejne fotografie: ojciec w koparce, na budowie. Ojciec z matką nad morzem, na wycieczce. Ojciec z Joanną. Joanna siedzi na kucyku, ma pomarańczowy płaszczyk i beret w tym samym kolorze. Pamięta, że płaszczyk kosztował dużo, matka protestowała, ale ojcu tak się w nim spodobała, że kupił go, nie bacząc na dąsy matki.

Joanna była jego oczkiem w głowie. Był z niej dumny i chwalił się nią wszędzie.

Tato, przyśnij mi się i powiedz, co robić.

Od rana pada. Joanna szykuje sobie śniadanie, gdy ktoś stuka do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, wtacza się do środka Pawliniakowa.

- Dzień dobry, pani Wandziu! - Musiała pić przez ostatnie dni, bo głos ma bełkotliwy wygląda koszmarnie, potargana, spuchnięta, czerwonosina na twarzy. Dziś też już zdążyła sobie chlapanąć, bo ma oddech długi na metr. Przystaje na widok Joanny.

- Jest mamusia? - sepleni.

- Nie ma, wyjechała.

- Bo ja chciałam pożyczyć pięć złotych. Oddam w przyszłym tygodniu, jak przyjdą alimenty, słowo honoru.

- Ale ja nie mam.

- No oddam, naprawdę, pożycz, pani Wandusia zawsze mi Pożycza.

Ja zawsze oddaję. Nie mam na chleb. A, i za mleko zapłaciłabym trochę później, co? Bo nie mam ani grosza, a dzieciom muszę przecież dać jeść! - kończy już agresywnie.

Joanna chętnie powiedziała by Pawliniakowej do słuchu. Pieniądze na wino albo samo wino zawsze potrafi skombinować, a na chleb nigdy nie ma.

- Pani Pawliniakowa, naprawdę nie mogę. Mama zostawiła mi tylko wyliczone pieniądze na zakupy.

- Oj tam, nie możesz, nie przesadzaj. - Pawliniakowa zataczając się, napiera na młodą sąsiadkę. Szybko nie wyjdzie z domu.

Joanna wyciąga z portmonetki dwa złote.

- Co ja kupię za dwa złote? - denerwuje się Pawliniakowa.

- Chleb - pada spokojna odpowiedź.

- No daj piątkę. - Kobieta jest uparta.

- Naprawdę więcej nie mogę. Nie mam.

- No to pożycz rower.

- Jest mi potrzebny, zaraz jadę z mlekiem.

- To przyjdę, jak wrócisz.

- Nie wracam. Jadę do lasu, na grzyby - Joanna wymyśla odpowiedzi, by pozbyć się natrętnej sąsiadki. Dwa złote może stracić, ale nie rower. Jeden już straciła matka. Pawliniakowa pożyczyła, pojechała do Mazurkowa kupić wino i wróciła do domu po trzech dniach. Bez roweru, za to z podbitym okiem.

Nie przeszkodziło jej to w tym, by nadal przychodzić

tutaj: przynajmniej raz w tygodniu po pieniądze i trochę rzadziej po rower, już nowy, który matka kupiła na raty żeby mogła jakoś jeździć do pracy, do Maniek.

Teraz wreszcie kapituluje. Bez słowa wychodzi z domu. Na odchodne, już przy furtce, odwraca się do dziewczyny.

- Ale wiesz co, świnią z ciebie, Aśka, roweru żałujesz koleżance! -

wykrzykuje i spluwa w jej stronę.

Joanna, zamiast wpaść w złość, śmieje się do samej siebie. Szukam bratniej duszy w całym Jagielkowie, a tu proszę, nie wiedziałam, że pod bokiem mam taką koleżankę. Mogłybyśmy razem jeździć na wycieczki rowerowe.

Szykuje słoje z mlekiem i kurtkę przeciwdeszczową. Najchętniej nie wychodziłaby dziś w ogóle z domu, bo nie cierpi deszczu i wiatru, ale skrzydeł dodaje jej myśl, że pojedzie do Kociołkowej, a potem do Tomasza. Nie widziała go trzy dni! Może zaprosi ją na kawę podaną na pniu lipy?

Z Kociołkową poszło gładko, Joanna trafiła w czas różańców. Teraz mozolnie przedziera się przez rozmytą drogę do chaty Tomasza. Gdy jest tuż przed bramą, wytacza się na nią znana dobrze furgonetka.

- Witaj! - Mężczyzna z nieodłącznym uśmiechem wychyla się z auta.

- Miałem nadzieję, że zdążę podjechać do ciebie, zanim wyjdiesz z domu w taki deszcz, ale widzę, że jesteś szybka. Wsiadaj, wrzucę tylko rower do środka i podrzucę cię do domu.

Joanna natychmiast chowa się do kabiny samochodu.

- Jadę do wioski jakieś piętnaście kilometrów za Mazurkowem.

Nawet nie wiem dokładnie, co jest do kupienia, ale podobno chodzi o sporą liczbę sprzętów domowych. Zadzwoiła do mnie synowa gospodarza. On zbiera na budowę

łazienki i potrzebny mu każdy grosz. A że moje wizytówki gdzieś tu po okolicy wędrują od jakiegoś czasu, w końcu do mnie trafili. Może kiedyś wybierzesz się ze mną na taką wyprawę?

- Jeśli nie będę musiała wyciągać kołowrotek z pajęczyn gdzieś na ciemnych strychach albo w stodołach, to się zgadzam. Mogę nawet ładować meble na pakę.

- Masz zbyt delikatne ręce do dźwigania, ale omiatanie z pajęczyn to rzeczywiście byłoby zadanie akurat dla niewiasty.

- Wypraszam sobie. Nie jestem zagorzałą feministką, ale nie zgadzam się na sztywny podział ról, narzucony nam Przez wieki męskiej dominacji. Nie zgadzam się na żadne omiatanie.

- No dobrze, na razie zostawmy podział zadań do dalszych Negocjacji, zwłaszcza że muszę cię już wysadzić, bo oto jesteśmy pod twoim domem. Mam inną propozycję. Nie wiem tylko, jak ją przedstawić, żebyś nie brała mnie za męskiego szowinistę do kwadratu. - Mów śmiało!

- Zapraszam cię na ognisko.

- Mam stać na straży płomienia?

- Nie, nie, absolutnie. Myślałem, że narąbisz drew.

Joanna wybucha śmiechem.

- Tak na serio, wymyśliłem ognisko parę dni temu, ale potem przyszedł deszcz i nie zanosি się na to, by rychło minął. Boję się, że nie zdążę rozpalić ognia w najbliższym czasie, więc zapraszam cię na dzisiejszy wieczór.

- Będziemy palić w chacie?

- To będzie ognisko umowne. Tak jak kiedyś ceny były umowne, ale ty tego pewnie nie pamiętasz, zresztą to dobrze, że nie pamiętasz. A więc ognisko będzie umowne, ale ugotuję żurek, który będzie całkiem rzeczywisty Potrafię przyrzucić naprawdę wyśmienity żur.

- Bez grama mięsa?
- Oczywiście, że bez mięsa. Tylko z kiełbasa.
- Ale ja jestem wegetarianką.
- Dobrze. Trudno. Będzie półzurek. Bo bez kiełbaski żuru prawdziwego nie ma. Jajko może być, czy też nie?
- Jaja i nabiał jem.
- Uff. Aha. Oprócz półzurku gwarantuję znakomite towarzystwo.
- Będziesz miał gości? - Joanna ploszyła się nieco.
- Nie, nie. To znakomite towarzystwo to oczywiście moja osoba. To co, mogę wstąpić po ciebie w drodze powrotnej?

Jasne, przecież na to właśnie czekam! - chce krzyknąć Joanna.

Zamiast tego milczy. Bo czy wypada tak od razu godzić się na propozycję Tomasza? Czy nie powinna mu pokazać, że się waha, że rozważa za i przeciw? Żeby Tomasz nie myślał sobie, że z nią, Joanną, pójdzie mu tak łatwo? Szybko? Że ona, Joanna, będzie na każde jego skinienie?

- Z chęcią spróbowałabym twojej zupy, ale dzisiaj wieczorem jestem zajęta.

Im bardziej gaśnie uśmiech na twarzy Tomasza, tym bardziej Joanna pragnie wymazać swoją odpowiedź. Nie ma jednak pod ręką klawisza delete.

- Cóż, może innym razem będę miał więcej szczęścia. - Samochód odjeżdża (enter, no i po wszystkim). Zabiera ze sobą jedynego przecież w okolicy faceta, od którego pragnie usłyszeć, że zaprasza ją do siebie na wieczór. Jeśli nie na kawę, herbatę czy wino, to - niech będzie - na wegetariański żur.

Dlaczego jest tak, że gdy zaczyna coś iskrzyć między mną a facetem, świadomie to psuję? Mówię „nie”, choć myślę „tak, tak, tak”? Czy to sprawka istnienia we mnie jakiejś

prakobie-ty, która przez wieki miała układane w głowie, że wypada jej robić to i to (łaskawie pozwalać mężczyźnie na to, by prosił o spotkanie, zabiegał o spojrzenie, zebrał o gest), a absolutnie nie wypada robić tamtego (powiedzieć „tak”, bez fałszywego udawania)?

Prakobiecie mówię zdecydowane „nie”!!!

Joanna stawia trzy potężne wykrzykniki, które mają przypieczętować jej niezłomną wolę. Ubiera się, wsiada na rower i jedzie do chaty Tomasza. Pora na zresetowanie twardego dysku.

Już za Jagielkowem, gdy dziewczyna jest już na polnej drodze do chaty Tomasza, dopada ją - dziś już po raz drugi „furgonetka. Tomasz, ponownie z uśmiechem, znów wychyla się zza szyby. Znów woła:

- Witaj! Zdaje się, że jedziemy w tym samym kierunku. Mogę cię podwieźć czy też jako kobieta wyemancypowana wolisz brnąć, wolna, samodzielna i niezależna, rowerem przez błoto?

- Jako kobieta wyemancypowana wolę ci najpierw powiedzieć, że wcale nie jestem dziś wieczorem zajęta, wręcz przeciwnie, jestem absolutnie wolna. Rozpaczliwie wolna. I, jeśli nie minął jeszcze termin ważności twojego zaproszenia, to powiem wprost - właśnie wybieram się, by z niego skorzystać.

- Przyznaj, że chodzi o żur? Feministki nie gotują, a ty pewnie przymierasz głodem po wyjeździe mamy?

- Skąd wiedziałeś?

- Intuicja. Niedawno posiadli ją - i oczywiście udoskonaili -
mężczyźni.

W krótkim czasie dojeżdżają do chaty. W oknach palą się światła.

- Masz gości? - Joanna boi się, że jednak nie trafiła

dobrze ze swoją odwagą.

- Nie, dlaczego?

- Pałą się światła.

- Włączam je przed wyjściem z domu. Kiedy wracam wieczorem, wydaje mi się, że ktoś na mnie czeka - mówi Tomasz z rozbijającą szczerością.

Joanna przed nikim nie potrafiłaby przyznać się do tego, że często czuje się samotna i że tę samotność stara się jakoś oszukać, tak jak Tomasz. Ma ochotę przytulić go mocno i zanurzyć palce w jego włosach.

Powiedzieć, że przecież ona mogłaby naprawdę na niego czekać, na razie może parę razy w tygodniu, ale kiedyś, kto wie, może częściej. Nie musiałby zużywać kilowatów na karmienie złudzeń.

W garnku grzeje się woda. Tomasz obiera ziemniaki. Joanna sączy herbatę ze śliwowicą. Zastanawia się całkiem poważnie, ile razy może powiedzieć dziś „nie” swojej prakobiecie.

- Wyjeżdżasz gdzieś na wakacje? - Pytanie odrywa ją od negocjacji z prakobietą.

- Wakacje? Mam właśnie swoje wymarzone wakacje. Nad wymarzonym jeziorem. Nie, nigdzie się nie wybieram.

- To wspaniale, do października mamy jeszcze trochę czasu. Na pewno uda nam się rozpalić nie jedno, a wiele ognisk.

- Awlistopadzie? W grudniu?

- Będziesz zakuwać w stolicy do zimowej sesji.

- Nie będę zakuwać ani do zimowej, ani do letniej, ani do żadnej innej - niemal wybucha Joanna.

Tomasz patrzy na nią z uwagą.

- Coś się dzieje? - pyta, a tak naprawdę stwierdza. Joanna czuje, że Tomasz podciął lawinę. Opowiada mu o

swoich kłopotach: o koleżankach i kolegach, z którymi nie może się porozumieć, o Warszawie, której nie lubi, bo tam wszystko pędzi i wszyscy pędzą, a ona ma w głowie tylko szum drzew i jezior, opowiada wreszcie o przygodzie w akademiku i o pani Zefiryńce, która zagięła na nią parol.

Nie wie dokładnie, czy to sprawa śliwowicy, czy deszczu za oknem, zresztą wszystko to nieważne, opowiada tak, jak nikomu dotąd. O klasach

„A” i „B”, o życiu na wsi, o tym, jak czuje się gorsza i jak kupuje w szmateksach. Opowiada swoje Pragnienie, żeby uczyć w szkole, to pragnienie, które mają Wszystkie dziewczyny, od kiedy skończą dziesięć lat. Tyle że jedno z niego wyrastają, a inne nie. Ona nie wyrosła, ale dziś już nie wie sama, czego naprawdę chce.

- Nie wrócę na studia. W Jagielkowie się urodziłam i tu powinnam zostać, nie mogę udawać kogoś, kim nie jestem kim nie będę. Nie dam rady, nie mam siły dłużej się męczyć. Zawsze będę tylko dziewczyną ze wsi, może z rozdmuchany-mi za bardzo ambicjami, dziewczyną, której się zdawało, że jest lepsza od koleżanek. A okazało się, że jestem wielkie nic.

Teraz czuję się tak, jakw podziemnym przejściu pod skrzyżowaniem Marszałkowskiej z Jerozolimskimi. Chcę spod Cepelii przejść do Rotundy Schodzę na dół. Mijam dziesiątki ludzi, sklepy, schody. Ktoś mnie potrąca. Kręci mi się w głowie. Wynurzam się na powierzchnię i co? Nie ma Rotundy. Jestem na przystanku tramwajowym w stronę Żoliborza.

Próbuję jeszcze raz. Schodzę na dół, szukam schodów, wynurzam się - a tu Forum. Rotunda tak blisko, widzę ją przecież, a nie mogę do niej trafić.

Biegam, miotam się, tracę orientację w labiryncie korytarzy i schodów, wpadam w panikę. Rozumiesz? Wszystko rozbija się o to, że ta właściwa droga jest bardzo blisko, a ja nie

mogę w nią trafić.

Joannie łamie się głos. Milknie. Oczy jej wilgotnieją. Łzy wzbierają i nie może ich już powstrzymać. Szlocha.

Tomasz podchodzi, staje za oparciem krzesła i tuli jej głowę, głaszcząc delikatnie po włosach.

- Ciii. No nie płacz już, proszę. Nie płacz, Joasiu.

- Masz chusteczkę? - Cieszy się, że ma go w tej chwili za plecami, a nie przed sobą.

- Proszę. Wiesz co, zupełnie nie nadajesz się na emancypantkę.

One nie płaczą.

- I nie opowiadają o swoich porażkach facetom. No, ale dość już tego. Już się pozbierałam. To co z tym żurkiem? - Uśmiecha się przez łzy. Garnek z zupą pachnie ładnie. Tomasz podaje łyżki. I dwa talerze.

Każdy inny

Rozkleiłam się przy Tomaszu. Nie powiem, że wylałam mu flakon łez w mankiet, ale było blisko. Myślałam nawet, że to nasze spotkanie skończy się trochę inaczej, że wreszcie wykona jakiś gest, który nie pozostawiałby żadnych wątpliwości. Ale nie. Nic. Pogłaskał mnie tylko po głowie.

Zyskałam, zdaje się, przyjaciela. Opowiedziałam mu o wszystkim.

Co we mnie siedzi, co gryzie. Szczerze. Popłynęłam zupełnie i czuję, że mi naprawdę ulżyło. Tomasz uważa, że powinnam studiować. Że mam taki obowiązek, nie tylko wobec siebie, ale wobec rodzeństwa i mamy. Że bliźniaczki i Wojtek mają wielki szacunek do mnie, że jestem dla nich ideałem. I o mamie. Trudno w to uwierzyć, ale podobno wspominała Tomaszowi o mnie, z wielką dumą. Mówiła nawet, że we mnie spełniają się jej marzenia o studiach i o lepszym życiu. Szkoda, że mnie tego nigdy nie powiedziała.

Mówił też, że wcale nie muszę niczego udawać, powinnam pozostać sobą i chodzić z podniesioną głową, bo wykonałam wielką pracę, żeby być na uniwersytecie i nie mogę tego zmarnować. I że powinnam zrobić sztandar ze swojego wiejskiego pochodzenia, cieszyć się z tego, że jest coś, co mnie wyróżnia. Że na warszawskim uniwersytecie świat się nie kończy.

Tomasz, gdyby nie to, że był jeden, mógłby być dziś moją grupą wsparcia. Podsunął mi pomysł. Mam się przenieść do Torunia, bo: miasto jest kameralne, tempo życia wolniejsze niż w Warszawie, klimat przyjazny. Tomasz gwarantuje, że spodoba mi się tam. Sam spędził w Toruniu trochę czasu na praktykach.

Oczywiście sama muszę zdecydować. Dowiedzieć się, czy Przeniesienie jest możliwe. No pewnie, dowiem się. Przecież nie mam nic do stracenia, a kto wie, może to jest dla mnie jakaś szansa? Nowa szansa?

Zaczynam się cieszyć na samą myśl o załatwianiu formalności.

Chociaż nie działo się między nami zupełnie nic, mimo że byliśmy w chacie sami, a potem Tomasz odprowadził mnie do domu, i księżyc świecił nam nad głowami bardzo romantycznie, to poczułam jednak jakąś mocno elektryzującą iskierkę, która postawiła mnie na baczność.

Zapytał, czy mam kogoś. A więc interesuję go i pod tym kątem!

Kogo niby mam mieć? Nie mogłam przecież opowiedzieć o Grześku. Bo to nie była miłość prawdziwa. Żadna zresztą nie była. Kiedy sobie przypomnę te nasze spotkania, to widzę jasno, że myśmy te nasze randki traktowali jak posiłki. Z tą różnicą, że kiedy ludzie z naszego, mojego i Grześka, roku chodzili na stołówkę, my chodziliśmy do mnie

do akademika.

Mycie rąk, nakrycie - wcale nie odświętne - i konsumpcja. Szybka i sprawna, bo pokój pusty tylko na trochę. Żadnych wstępów ani epilogów.

Z braku czasu, tak sobie wtedy tłumaczyłam. Oszukiwałam siebie samą, bo przecież wiedziałam, że nie o brak czasu chodzi, ale o brak miłości.

Jak to się stało, że wystarczało mi samo łóżko? Nie potrzebowałam przyjaźni? Oparcia? I jeszcze oszukiwałam się, że tak jest dobrze, że Grzesiek jest w porządku, że tylko ze mną, a ja tylko z nim, no prawie mąż i żona. Boże, teraz widzę tę całą beznadzieję. Ale tego Tomaszowi nie mogłam opowiedzieć. Że nie chcę do Warszawy również i dlatego, żeby nigdy więcej nie spotkać Grzeška.

Joanna pędzi do Tomasza. Musi mu natychmiast o wszystkim opowiedzieć. Była w Toruniu. Wie już wszystko. Wie, co ma robić.

- Zakochałam się! - oznajmia w drzwiach z uśmiechem od ucha do ucha.

Tomasz odrywa się od stołu. W jednej ręce trzyma pędzel, w drugiej puszkę z bejcą.

- Dlatego przez cztery dni mnie nie odwiedzałaś? A więc przegrałem? - Udaje, że ma bardzo smutną minę, ale widać, że bardzo cieszy go jej widok. - Jaki on jest? Założę się, że to niebieskooki, wysportowany blondyn. Zawsze przegrywam z niebieskookimi, wysportowanymi blondynami.

- Jest spokojny, intrygujący i pełen uroku... - Joanna podejmuje grę. - Ma bogatą przeszłość. Jest piękny i ma dla mnie zawsze otwarte ramiona.

- To niedobrze rzucać się za szybko w ledwo poznane ramiona.

- Czuję, jakbym go znała sto lat.

- Jako osoba wykształcona powinnaś wiedzieć, że taki tekst, oklepany i zużyty, wygłaszają wszystkie panienki, które najpierw wskoczyły facetowi do łóżka, potem zapytały go o imię, a jeszcze później poczuły się źle z tym, że są tak szybkie. Ta regułka zastępuje im odgłos trzykrotnego puknięcia w konfesjonał.

- Ale on jest inny od wszystkich, naprawdę.

- Rany, to jest jeszcze gorsze. No dobrze, powiedz wreszcie, kto jest tym szczęśliwcem i miejmy to już za sobą.

- Miasto nad Wisłą, ale nie Warszawa.

- Byłaś w Toruniu? - Tomasz robi wielkie oczy.

- Dopiero co wróciłam. - I?

- Powiedziałaś ci przecież. Zakochałam się!

Tomasz zostawia pędzel i puszkę z bejcą. Idzie do Joanny, chwyta ją mocno za rękę. - Przeniesiesz się?

- Jeśli będziesz za mnie trzymał kciuki, bo bez tego się nie obejdzie.

- Joasiu, bardzo się cieszę. Naprawdę bardzo się cieszę. - Ściska i potrząsa ramiona Joanny. - Może to głupio zabrzmiało, ale jestem z Ciebie dumny. W pewien sposób czuję się nawet współautorem twojej decyzji.

Musimy to uczcić. Ocaliłaś jedyną studentkę w Jagielkowie, jest co świętować.

- Nie chcę przeszkadzać ci w pracy, ale nie mogłam się powstrzymać, żeby ci nie opowiedzieć o Toruniu. Byłam, zobaczyłam i zwyciężyłam! Znowu czuję, że czegoś chcę.

Szybko, szybko daj mi jakiś pędzel, to będę malować razem z tobą.

Razem malują stół. On blat, a ona nogi. Z kubków paruje gorąca herbata ze śliwowicą. Tomasz zaśmiewa się, gdy Joanna opowiada o podróży do Torunia i o dwóch starszych panach, którzy z nią razem zajmowali jeden przedział i kłócili się zawzięcie o Peerel. W końcu starszy wypalił, że ma dziewięćdziesiąt sześć lat i że ten drugi, co ma ledwie siedemdziesiąt, nic o życiu nie wie i ma się nie wymądrzać więcej, i pamiętać, że ruski to bolszewiki cholerne. A kiedy młodszy staruszek próbował jeszcze brnąć w pochwałę komuny, starszy chwycił laskę i zamierzył się na młodszego. Joanna na szczęście była szybsza, w porę chwyciła broń i obyło się bez rozlewu krwi. Zaraz zresztą obaj wysiedli.

Stół już w połowie jest pomalowany Joanna opowiada tak swobodnie, jak gdyby przy niej był nie Tomasz, a najlepsza przyjaciółka.

Nie mogła trafić do dziekanatu, bo ktoś z przechodniów podał jej złą drogę, ale w końcu znalazła właściwy budynek. Pani była bardzo miła.

Powiedziała, co i jak ma załatwić, co będzie musiała nadrobić. W

Warszawie musi jeszcze zdać egzaminy z letniej sesji. I zaliczyć praktykę w szkole. Indeks ma dostarczyć w październiku. Napisać podanie.

Największy kłopot to akademik. Toruń ją zachwyił. Zrobiła tylko krótki spacer, bo musiała wracać do domu, ale to wystarczyło. Tam będzie czuć się jak ryba w wodzie. Po prostu to wie. Bez względu na ludzi, których spotka.

- Dziękuję ci. - Za?

- Za to, że wiem, co mam robić. Jutro, pojutrze, przez parę lat najbliższych.

Cały stół lśni świeżutkim mahoniem.

- Nogi wyglądają rewelacyjnie - oznajmia z podziwem Tomasz, pogwizdując przy tym, a Joanna rumieni się mocno i odruchowo spogląda na swoje, całkiem długie, nogi.

- Jak na debiutantkę, to w roli malarza meblowego wypadłaś całkiem dobrze. Będę musiał podzielić się z tobą zyskiem, kiedy sprzedam ten mebel - ciągnie dalej. Dziewczyna karci się w myślach za swoją próżność.

- Należy nam się herbata z zachodem słońca. Chyba jeszcze zdążymy?

Kiedy wychodzą na taras, ostatni skrawek wielkiej czerwonej kuli chowa się za horyzont. Zmierzch zapada powoli, otula chatę, taras i spowija ciasno Joannę i Tomasza. Popijają herbatę, przekomarzają się i żartują. Jest cicho i pięknie, i Joannie wszystko wydaje się cudownie proste.

- Cała wieś aż huczy! - Matka trzaska garnkami coraz głośniej. Jest naprawdę mocno zdenerwowana. - Dziewczyno, czyś ty rozum straciła?

Ledwo co wróciłam, a już Jesionowska robi dziwne miny, Brzozowska pyta, czy już wiem, nawet Kociołkowa coś napomknęła o zepsutych dziewczynach. Co w ciebie wstąpiło?

Joanna siedzi z łokciami na stole, z głową wspartą na rękach i patrzy w okno. Patrzy, patrzy i nic nie widzi. Nawet nie próbuje przerwać matce, która, jak nigdy dotąd, mówi i mówi, i tym mówieniem dodaje sobie energii, nakręca się i rośnie, rośnie, zajmuje już całą kuchnię i Joannie zaraz zabraknie tutaj miejsca. Już zatykają jej się uszy. Już słyszy tylko co drugie, a może co trzecie zdanie. A matka nie przestaje chodzić po kuchni i mówić. Coraz szybciej i coraz głośniej.

- Nie wiem, co wyście tam robili. Sami w chacie! Ale mogłabyś przynajmniej uważać, żeby was nikt nie widział. Żeby nie gadali. A wiesz, co mówią? Mówią, że ojciec ledwo

pochowany, a ty ciągasz się z gachem, który sam mógłby być twoim ojcem.

Tego Joannie już za wiele. Zrywa się z miejsca, w milczeniu wymija matkę i wybiega z płaczem z domu.

Jak ona ich nienawidzi! Tych wszystkich sąsiadek, sąsiadeczek, zawsze wścibskich, zawsze dających dobre rady i zawsze wiedzących wszystko najlepiej.

Tu nikomu nigdy nie pomieści się w głowie, że mogą nocować z Tomaszem pod jednym dachem i spać z nim pod jedną kołdrą. Spać, ale się nie przespać.

Słyszy wyraźnie, jak z każdym krokiem szelest firanek przesuwanych gorączkowo w oknach staje się coraz głośniejszy. Jak jej plecy przewierca wzrok kolejnych par oczu, jak w mijanych domach rośnie szept. Zamienia się w świst i bulgotanie, a gdy Joanna dociera na kraniec wsi, całe Jagielkowo, nieskrępowane już jej obecnością, krzyczy głośno, zadowolone z rozrywki w nudne lato.

Tomasz pracuje w chacie. Joanna staje w progu. Milczy. Szlocha.

Tomasz zostawia narzędzia, podchodzi do niej i kiedy jest tuż obok, dziewczyna wybucha:

- Nienawidzę ich!

Mężczyzna nic nie mówi. Popycha lekko Joannę w stronę kuchni, a ona mu się poddaje. Sadza ją na krześle. Podaje chustkę. Parzy herbatę.

Dopiero gdy stawia kubki na stole, pyta, co się stało.

Joanna opowiada. Nie zwracała uwagi na kąśliwe uwagi sąsiadki z naprzeciwka, Brzozowskiej, która wyliczyła dokładnie, z mającym wiele znaczyć uśmiechem na twarzy, jak często Tomasz podwoził ją samochodem. Było tego pięć razy. Potem puściła mimo uszu niewybredny komentarz kolegi ze szkoły, który przywodził ich pływających razem w jeziorze.

Potem nie przejęła się zupełnie Kociołkową, która, choć nie wychodzi z domu, wiedziała, że Joanna wozila mleko Tomaszowi. I długo od niego potem nie wracała. „A, jeszcze niech Joanna uważa, bo takie schadzki po nocach nie wyjdą jej na dobre”.

- No i nie wyszły...! - Chlipie na całego. - Mama wróciła przedwczoraj wieczorem, jeden dzień wystarczył, żeby dowiedziała się o mnie najgorszych rzeczy. Nienawidzę ich, całej tej zasranej publiczności.

Właściwie niczego innego po nich nie można się spodziewać, ale najgorsze jest to, że mama mówi tak, jakby była razem z nimi w jednym obozie. Mówi jak Kociołkowa. Jak Dulska. Nie wytrzymam tego. A teraz, kiedy pół wsi widziało, jak biegłam tu do ciebie, to już wszyscy będą swoje wiedzieć.

- Joasiu, dopij herbatę i chodź.

Joanna patrzy na niego i nie wie zupełnie, o co mu chodzi.

Mimo to posłusznie wstaje i wychodzi razem z nim z chaty Tomasz prowadzi ją do drewnianej furtki.

- Chodź, chodź, przejdziemy się. Skręca w stronę wsi.

- Dokuczają ci? Tacy zawsze się znajdują. Nie tylko w Jagiel-kowie.

Ale ich myśli, ich sądy, to ich sprawa. Nie twoja. Powiedz sobie: to mnie nie dotyczy I po problemie.

- Jak to nie dotyczy? Dotyczy i to bardzo. Przecież dzisiaj mama rozpętała z tego powodu piekło.

- Z mamą jest gorzej, to fakt. Mieszkacie pod jednym dachem. Ty jednak wiesz, że postępujesz uczciwie, powiedz to mamie, przecież uwierzy tobie, a nie plotkom. Teraz odprowadzę cię do domu. Nie możesz kryć się po kątach, siedzieć w norze jak kret, dlatego tylko, że ktoś coś sobie pomyśli, że ktoś coś komuś powiedział, bo gdzieś usłyszał, a

może wcale nie usłyszał, a tylko mu się zdawało. Bo to twoje życie, mówiłem ci już. I ty musisz o tym życiu decydować. Nie tylko o tym, co robić, ale jak!

Pierwszy krok-uwolnić się od Kociołkowej i jej podobnych. No, uśmiechnij się. To nie koniec świata.

- Boję się, że dla mamy, owszem, to jakiś koniec świata. Ona lubi mieć święty spokój. Jest zawsze obok tych wszystkich kółek towarzyskich, obok tych kawuś i herbatek, bo nigdy nie miała na to czasu, a poza tym cudze sprawy to nie jej żywioł. Ja tak naprawdę jestem jej obojętna, byleby tylko spokój był, mogę robić, co chcę.

- Tym lepiej. Twoja mama nie będzie przeciwnikiem naszej przyjaźni.

- To my się przyjaźnimy?

- Dawno nie miałem przy sobie kogoś tak bliskiego, na kim by mi tak bardzo zależało.

Joannie skrzydła rosną u ramion. To chyba musi być wyznanie miłości.

Wyprostowana, z głową uniesioną do góry, uśmiechnięta, z Tomaszem u boku, wkracza do Jagiełkowa. Firanki szeleszczą gwałtowniej i nikt już nie szepcze, bo w każdym mijanym domu wybucha gwałtownie głośnie wymiana zdań.

I gdyby Joanna zakradła się pod te domy, usłyszałyby w każdym mniej więcej to samo: że matka specjalnie ją z mlekiem wysyłała do warszawiaka, że wszyscy przecież od początku widzieli, co z tego może wyniknąć, przecież dziewczyna chłopaka nie ma, bo nosa zadziera, z miejscowymi nie chce gadać, ale z bogatym jak hrabia warszawiakiem to znalazła temat, hi, hi, zaraz, szybko,- ciekawe, kiedy Wanda Marzec babką zostanie, ta to się urządziła, wiadomo, stary ją odumarł, to i biedniej w domu, a tak, Joaśkęwyda za męż, co tam, że

stary dla niej, przecież cała rodzina skorzysta przy takim zięciu.

Dzień był okropny. A ja czuję się cudownie. Cudownie! Jemu na mnie zależy! I jestem mu bardzo bliska! Zależy mu na mnie i jestem mu bliska. Jestem mu bliska i zależy mu na mnie. I dlatego czuję się cudownie, chociaż dzień był okropny. A był okropny, bo dużo się ostatnio wydarzyło.

Wtedy, kiedy poszłam opowiedzieć Tomaszowi o Toruniu i o tym, że miasto mi się podoba i że już zdecydowałam, że tam się przeniosę i będę dalej studiować, więc wtedy było u Tomasza tak pięknie: malowaliśmy razem stół, a potem oglądaliśmy zachód słońca. Tak dobrze siedziało nam się razem i rozmawiało, tak nam dobrze było ze sobą, że wzięliśmy się jeszcze do szafy.

Ta praca jest niesamowita. Tomasz pokazuje mi starą, odrapaną, przeżartą przez korniki szafę, którą czuć pleśnią, która ma obtłuczone drzwi, urwane nogi, wygląda zupełnie beznadziejnie i nigdy bym na niej oka nie zatrzymała, a potem, potem jest z niej piękny mebel.

Pracowaliśmy do rana. Do piątej rano. Oczyszcziliśmy razem ściany i troje drzwi, ipodłogę, i sufit, i nogi tej ogromnej szafy. Napakowaliśmy w dziury po kornikach, i nie tylko po nich, jakieś specjalne papki do drewna. Wygładziliśmy. Przecieraliśmy to papierem ściernym. Pędzlem potem odkurzaliśmy. Tomasz przyklejał to, czego brakowało, a co już wcześniej dorobił. I tak nas wzięła ta praca, tak bardzo chcieliśmy zobaczyć końcowy efekt, że nie czuliśmy zmęczenia. Marzyliśmy tylko o tym, że ją pomalujemy. Malowaliśmy kilka razy bejcą. Każdą warstwę nakładaliśmy cieniutko, najcieniej jak tylko można - jeśli było zbyt dużo bejcy, przecieraliśmy drewno szmatką. Potem malowaliśmy następny raz.

A więc siedzieliśmy razem w szafie i czułam się taka

spokojna, trochę jak wtedy, gdy żył ojciec i opowiadałam mu różne historie ze studiów, a on wszystko rozumiał, nawet to, czego mu nie powiedziałam.

Byłam spokojna, bo już wiedziałam, co mam ze sobą robić, bo byłam tuż obok Tomasza i wykorzystywałam wszystkie te króciutkie momenty, kiedy on podawał mi szmatkę albo kubek z herbatą, albo gdy opierał się o moje ramię, kiedy oglądał, co już zrobiliśmy, więc było dużo takich momentów fizycznej, elektryzującej bliskości i to było bardzo, bardzo przyjemne.

A gdy już skończyliśmy z szafą, bez lakierowania, bo jednak musiało to wszystko wyschnąć, a byliśmy już wypompowani z sił, więc o tej piątej rano nie wracałam do domu, tylko zostałam u Tomasza. Kąpałam się w jego łazience, wycierałam jego ręcznikiem, ubrałam się w jego dres do spania i rolałam w głowie najróżniejsze myśli, kiedy szłam na piętro, na strych właściwie, gdzie Tomasz ma swoją sypialnię, czyli materac położony na podłodze.

Byłam tak podekscytowana, że nie mogłam zasnąć, mimo zmęczenia po całym dniu na nogach, w Toruniu, no i po obróbce szafy.

Kiedy on przyszedł na górę, udawałam, że śpię. Nie wiedziałam, jak się zachować, nie wiedziałam, co będzie dalej.

A „dalej było to, że on okrył mnie dokładnie, położył się obok i natychmiast zasnął. I zaczął lekko chrapać. Nic, zupełnie nic się nie działo! A właściwie troszkę się działo - postanowiłam wykorzystać sytuację. I kiedy Tomasz już mocno zasnął, położyłam głowę na jego ramieniu. Po pewnym czasie zdjął tę moją głowę, wyraźnie zdrętwiała mu ręka. Cały czas udawałam, że śpię. Z tych wielkich emocji zasnęłam dopiero po siódmej. A obudziłam prawie przed południem. Tomasz był już na dole, powitał mnie najpiękniejszym dzień dobry, jakie

mogłam sobie wymarzyć, i najpyszniejszą kawą pod słońcem.

Dwa dni później wróciła mama. Rozpętała się burza. Oplotkowała mnie cała wioska, a specjalna delegacja streściła plotki mamie.

Streszczenie mogłoby zapełnić dwa miesiące moich szaleństw, a mamy przecież nie było tylko dwa tygodnie, ale takimi drobiazgami nikt się przecież tu nie przejmuje.

Mama mnie zrugła, uciekłam do Tomasza, a on - kochany! -

niemal zmusił mnie do tego, byśmy razem predefilowali przez Jagiełkowo. To było jak kij w mrowisko.

Wieczorem poszłam za ciosem i choć miałam ochotę zamknąć się u siebie i nie odzywać przez kilka dni, poszłam do mamy. Na szczerą rozmowę. Naprawdę się postarałam. Przecież nie będę jej oszukiwać, a nie wyobrażam sobie, bym mogła nie widywać się z Tomaszem. Myślę, że nie przekonałam jej że po prostu lubię Tomasza i że się przyjaźnimy, i to Wszystko. Czuję, że mama wie, że sąsiadki opowiadają kłamstwa, ale wcale nie o nie chodzi. To był tylko pretekst do awan-tury. Ona boi się, że przyjdzie taki moment, gdy zakocham się w Tomaszu.

Boi się niepotrzebnie. Ten moment już przyszedł. Sama nie wiem kiedy Nawet nie mogę powiedzieć, że jestem w nim zakochana.

Zakochana byłam w panu od polskiego, bo pan od polskiego pisał wiersze i czytał je nam na kółku polonistycznym. A więc w Tomaszu nie jestem zakochana. Tomasza kocham.

Trzy głowy pochylają się nad śpiącą Joanną. Szepczą zawzięcie.

Wojtek z Wackiem, Basia i Kasia. Stoją tuż przy łóżku i spierają się.

Wojtek chce budzić siostrę natychmiast. Bliź-niaczki próbują go przekonać, że lepiej poczekać, aż sama się obudzi. Debata wymyka się spod kontroli i dzieciaki zaczynają krzyżeć, a Wojtek wkłada Wacka pod kołdrę. Cała trójka chichocze. Kiedy Wacek wchodzi Joannie na szyję, ta siada w łóżku gwałtownie, przeciera oczy i przybiera srogą minę.

- Czekamy i czekamy, a ty śpisz i śpisz - zaczyna Wojtek.

- Jest bardzo ładna pogoda - wtrącają dziewczynki. - I chcemy pójść nad jezioro.

- Mama nam już pozwoliła.

- I tylko jeszcze ja jestem wam potrzebna, żeby was popilnować, tak?

- Pójdiesz z nami? Zobacz, nawet Wacek cię prosi - cała trójka mówi jednym głosem, zapominając o gwałtownym sporze, który ledwo co przebrzmiał.

Joanna śmieje się z rodzeństwa. Dobrze wiedzą, jak się zachować, kiedy chcą coś u niej wskórać. Oczywiście pójdzie z nimi nad wodę, choć wolałaby w przeciwną stronę, do chaty Tomasza. Wstrzyma się jednak z wizytą, choć jeden dzień. Mama się uspokoi, sąsiadki ochłoną.

Gdy Joanna schodzi do kuchni, matka krząta się jak zwykle.

- Nie przeszłabyś się z dziećmi nad jezioro? Już u dziadków tęsknili za kąpielą, no, ale tam nie ma nawet rowu z wodą, a co dopiero mówić o jeziorze.

- Już u mnie byli, błagali prawie na kolanach. Oczywiście zgodziłam się.

- No to ja będę mogła spokojnie popracować. Przychodzi dziś stary Kowalski, przymierza się do przejścia na emeryturę, pomogę mu pozbierać dokumenty. Wróćcie na obiad, dobrze?

Dzieciaki zdążyły już pochwalić się wyjściem nad

jezioro sąsiadom.

Joanna dostanie pod opiekę jeszcze dwójkę dzieci.

- Asia! Asia! Piotrek i Ewa też mogą iść z nami, mama im pozwoliła, jak jej powiedzieliśmy, że ty będziesz! - oznajmiają dziewczynki.

- No dobrze, ale po powrocie pomagacie mi w zmywaniu naczyń po obiedzie, a potem sami szykujecie kolację.

- To szantaż! - oburza się Wojtek.

- To interes - prostuje Joanna.

Wyjście nad jezioro to cała wyprawa. Zwijają dwa koce. Pakują ręczniki. Kompot do picia, ciastka. Zabierają Ewę i Piotrka z naprzeciwka.

Joanna czuje się jak opiekunka na koloniach. Nad jeziorem ciągle liczy wystające z wody głowy. Godzi chłopców z dziewczynkami. Próbuje namawiać towarzystwo na wyjście na brzeg i ogrzanie w promieniach słońca, ale bez skutku. Dopiero gdy grozi, że więcej nad jezioro z nimi nie pójdzie, wychodzą po kolei z fal. Szczękają zębami, a brody drżą im z zimna.

Jeszcze tego brakowało, żeby się pochorowali.

- No, a teraz zarządzam wyścigi. Kto pierwszy dobiegnie do domu?

Dla zwycięzcy nagroda - dostanie ciastka i będzie mógł podzielić się nimi ze wszystkimi!

Hasło chwyta, cała piątka ściga się zawzięcie, Joanna ledwo za nimi nadaża. W domu bliźniaczki i Wojtek dotrzymują słowa: jest wspólne zmywanie naczyń i kolacja.

Już sierpień. Kiedy uczyłam się w szkole, zawsze przeżywałam bardzo smutno koniec lipca. Żał mi było, że już połowa wakacji minęła. W lipcu wydawało się, że lato będzie trwać bez końca, a wrzesień przyjdzie może za rok dopiero, albo za dwa.

A sierpień był dla mnie smutny. Pstryk! Przelatywał błyskawicznie.

Zaczynała się szkoła. Teraz też jest mi trochę smutno, fak to będzie, bez Tomasza, w Toruniu? Już teraz każdy dzień bez spotkania z nim wydaje mi się kaleki, niepełny. Dzisiaj na przykład - byłam z mamą, byłam z dziećmi, ale myślami - gdzie indziej. Cały dzień tęskniłam za Tomaszem. Teraz potęsknię sobie jeszcze trochę zupełnie sama. No, może nie całkiem sama. Ze Stingiem.

Joanna czeka tylko na moment, kiedy wymknie się z domu. Chce jednak najpierw pomóc choć trochę matce. Wstawia pranie, drugie już dzisiaj. Rzeczy z pierwszego wynosi do ogrodu, wiesza na sznurze i nawet wieszanie bielizny dobrze ją dziś nastraja. Humoru nie zmaci jej też sterta ubrań do prasowania ani grządk, z których trzeba wyrwać chwasty. A wszystko dlatego, że po południu pojedzie rowerem do Tomasza, z mlekiem. Mamie już zapowiedziała, że wróci późno. Nie protestowała, ale też było widać, że nie jest zadowolona. Milczała po prostu. A u matki Joanny takie milczenie nie wróży nic dobrego. Joanna dobrze zna te chwile, kiedy matka się zacina.

Jak wtedy kiedy w podstawówce wybrała się z koleżankami na

„Ducha”. Do kasy kina Jurand była kilometrowa kolejka. Pobiegły tam z koleżanką zaraz po lekcjach. Prawie godzina stania po bilety! Dłużej stały tylko przed „Klasztorem Szabolina”. Szkolny autobus odjechał, do domu wracały więc pieszo, za to z wymarzonymi biletami w kieszeniach.

Matka dała zgodę na wieczorne wyjście do kina. Tyle że córka nie powiedziała, że film dozwolony jest od piętnastego roku życia. Urodziny miała za dwa miesiące. Bez tego, drobnego w końcu, kłamstwa mogłaby zapomnieć o oglądaniu

„Ducha”. Bo matka zawsze była bardzo zasadnicza. Na film nie dałaby zgody, tego Joanna jest pewna do dziś.

Bomba wybuchła, kiedy rozemocjonowana i zmęczona (w obie strony szły z koleżankami na piechotę) wróciła wieczorem do domu.

Matka zdążyła sprawdzić w gazecie repertuary kin. Czarno na białym było tam napisane, że „Duch” nie jest przeznaczony dla Joanny, która ma ledwie 14 lat i dziesięć miesięcy.

Przez tydzień traktowała córkę jak powietrze. Nie pomogło kajanie się i obiecywanie, że już nigdy nie skłamię. Matka milczała równo siedem dni. A po siedmiu dniach przemówiła: żadnego kina do końca roku szkolnego. Do końca roku szkolnego było jeszcze sześć długich miesięcy.

I dziś Joanna przeczuwa, że może być podobnie. Jest co prawda dorosła, w niczym nie skłamała, ale aż boi się pomyśleć, jak długo tym razem matka może milczeć.

Joanna rozpromienia się cała, gdy widzi chatę. Zrobi Tomaszowi niespodziankę. Zamiast do drzwi zapuka w okno, tam, gdzie pracuje nad meblami. Wita się z Reksem, który już z daleka macha do niej ogonem, i podchodzi do okna. Ręka gotowa do pukania zawisa w powietrzu.

Zamiast Tomasza w środku jest młoda, śliczna dziewczyna. Ma na sobie tylko kusą koszulkę i krótkie szorty. Ogląda właśnie szafę, którą Tomasz i Joanna malowali wspólnie przez całą noc.

Joanna dopada furtki, wsiada na rower i pędzi do domu jakby ją ktoś gonił.

Byłam pewna, że usłyszałam wyznanie miłości. No, prawie wyznanie miłości. A to był błąd w interpretacji.

Teraz już wiem, że nie jedyny. Wiem już, jak interpretować zasłyszane dwa czy trzy razy telefoniczne

rozmowy Tomasza. Teraz dopiero skojarzyłam, że to były rozmowy z kobietą. Mówił takim czułym głosem. Na koniec posyłał „buziaczki”, a przecież to nie jest zwrot dobry dla byłej żony ani dla księgowej obliczającej, ile szaf sprzedał.

To jasne, kocha kogoś, ma kogoś. Szkoda, że oczy otworzyły mi się dopiero dzisiaj, kiedy tego kogoś” zobaczyłam.

Niestety, znać po niej warszawski sznyt, niestety, ma nogi długie, niestety, nie jest gruba. Nawet nie jest, niestety, ode mnie starsza.

No i proszę, ledwo coś zaczęło iskrzyć, a już czuję się jak żona z długim stażem porzucona dla tej młodszej i ładniejszej.

Ona przechadzała się po Tomaszowej chacie jak po swojej. I na pewno nie jest młodszą siostrą ani daleką krewną, która akurat tędy przejeżdżała i postanowiła go odwiedzić.

Naiwności stop. Happy endu nie będzie, bo oto nastał, definitywny i nieodwołalny, kres egzotycznej przyjaźni między Joanną, krzyżówką wieśniaczki ze studentką, a dojrzałym wiekiem rozwodnikiem, inżynierem i zbieraczem staroci. Amen.

- Ale dlaczego akurat Toruń? - kobieta zadaje to pytanie już trzeci raz.

Dziewczyna liczyła się z tym, że nie będzie to takie proste _

przekonać matkę, że rezygnacja ze studiów w Warszawie to nic groźnego.

Że to nie znaczy, że Joannę stamtąd wyrzucają, tylko sama się przenosi. I że Toruń też ma uniwersytet, a nie jakąś tam szkółkę.

- Mamo, nie możesz tego zrozumieć? Naprawdę dłużej w Warszawie nie wytrzymam. Cudem wytrzymałam trzy lata.

Proszę cię, zaakceptuj moją decyzję, nie chcę przenosić się ze świadomością, że jesteś przeciw.

W Toruniu będę dalej studiować. Nie będę powtarzać roku, wszystko pójdzie normalnym trybem, muszę tylko jeszcze w Warszawie zdać te dwa egzaminy we wrześniu, o których ci mówiłam.

- A co z pracą? Zawsze powtarzałaś mi, że w Warszawie studentom łatwiej jest dorobić, a potem, po studiach, jest praca dla wszystkich. Co teraz będzie? Przecież w Toruniu nikogo nie znasz, a w Warszawie wróciłabyś do tych samych ludzi, u których już pracowałaś.

- Tam też są tacy, którzy potrzebują opiekunek do dzieci i kogoś do prasowania i sprzątanania. Tym się, mamo, nie przejmuj. Nie będę brać od ciebie więcej pieniędzy. Może nawet zaoszczędzisz, bo akademik jest tańszy.

Matka się ożywiła. Tańszy akademik zrobił na niej wrażenie. Wcale nie wiem, czy jest tańszy, ale warto było skłamać dla takiego efektu.

- No dobrze, niech już będzie. Oj, żebyś skończyła, córcia, te studia, byłoby po kłopotach i nie musiałabym się martwić o ciebie.

- Zanim się obejrzyysz, będę panią magister. Jutro wybieram się do Warszawy. Muszę pozałatwiać te egzaminy
Joanna oddycha z ulgą. Poszło całkiem gładko.

- Aśka, zawieziesz mleko panu Tomaszowi? Joanna drętwieje. Co robić?

- Obiecałam dzieciakom, że wezmę je dzisiaj znowu nad jezioro. Już się pochwalili Ewie i Piotrkowi. Zaraz mają przyjść.

- No to sama pojedę. Trudno.

Joanna znika matce z oczu. Szuka rodzeństwa. Wystarczy słowo o kąpieli szepnięte Wojtkowi, by w pięć

minut zorganizował do wyjścia całą drużynę i to z naddatkiem. Oprócz Ewy i Piotrka na podwórku Marców pojawia się też Krzysy z młodszym bratem Patrykiem.

No to mam za swoje. Czy to nie za duża kara za kłamstwo, siedem sztuk w jeziorze ze mną jedną?

W Jagiełkowie poruszenie. Do babci Jesionowskiej przyjechała bogata jak królowa wnuczka. I wybiera się do Joanny. Nowinę przyniosły bliźniaczki. Dostały od niej batony prosto z reklam, do domu wróciły podekscytowane. Nic dziwnego, Krysia Jesionowska ekscytuje każdego.

Marzy o niej połowa, a może nawet wszyscy panowie z Jagiełkowa. Bez względu na wiek. Bo Krysia lśni opalenizną niezależnie od pory roku, taką prosto z solarium. Jest wygimnastykowana, bardzo dba o linię i chodzi na siłownię. Ma tlenione włosy blond i kolorowe paznokcie. Jeździ sportowym samochodem w czerwonym kolorze. Do Jagiełkowa przyjeżdża sama. Dzieci nie ma, a jak ją kiedyś Jesionowska zapytała, czy coś nie tak, to usłyszała, że Krysia dzieci mieć nie chce. Bo kto ma pszczoły, ten ma miód, a kto ma dzieci, ten ma smród.

Krysia ma za to faceta z własnym biznesem. - Żyją na kocią łapę już tyle lat, co robić, Wandziu kochana? - żaliła się nie raz i nie dwa matce Joanny babcia Jesionowska. - Wiadomo, że u młodych krew nie woda i może się zdarzyć coś raz czy dwa, przecież ja też nie z kamienia jestem. A tu już tyle lat w grzechu żyją. Tłumaczę, że źle robią, a ona mi mówi, że papiery to dzisiaj do szczęścia niepotrzebne. Pytam, co z Kościołem? To ona mi mówi, że zabobon. Źle ją wychowaliśmy, oj, źle.

Babcia Jesionowska kocha Krysię całym sercem. Ale jej niby-męża przez te wszystkie lata nigdy za próg nie wpuściła. Raz go Krysia przywiozła tylko, zaraz kiedy zaczęli razem

mieszkać. Jesionowska powiedziała, że widzieć go nie chce. I nawet jednej złotówki, w ogóle nic od niego ani od Krysi nie potrzebuje. Więcej się w Jagiełkowie nie pojawił, ale Krysia parę razy w roku do rodziny przyjeżdża.

- Jej to się udało - wzdychała kiedyś do Joanny Baśka. Ta, która nie chodzi już na majowe, bo obciach. Baśka zazdrości szczerze Krysi. A właściwie Kamili. Bo wnuczka Jesionowskiej po wyjeździe do stolicy zmieniła pospolite imię Krystyna na nowocześniejsze i modniejsze -

Kamila. Z nowym imieniem w stolicy Kamili się powiodło. Znalazła bez kłopotu pracę w recepcji hotelu. A potem już tylko awansowała, awansowała i awansowała. Nauczyła się angielskiego i włoskiego. Zarabia niewyobrażalne dla mieszkańców Jagiełkowa pieniądze.

Ostatnio opowiadała Joannie o Krysi jej szkolna koleżanka Magda, która też pojechała szukać lepszego życia w Warszawie. - Udaje, że mnie nie zna. Boi się, że przywitam ją po staremu: „Cześć, Kryśka”. A ona już nie jeździ do Jagiełkowa do mamy, tylko „wyjeżdża na weekend na Mazury”.

Ciekawe jak spędzi ten weekend na Mazurach? I dlaczego sobie przypomniała właśnie o mnie?

Ciekawość Joanny miała zostać zaspokojona jeszcze tego samego dnia wieczorem. Krysia-Kamila jest pięknie ufryzowana, umalowana i pachnąca. - Cześć, babcia mi mówiła, że podobno coś tam studiujesz? - zaczyna i od razu przechodzi do rzeczy - Mam do ciebie sprawę.

Eksternistycznie robię li-ceum. Chcę mieć maturę. Nie, żeby mi to było potrzebne do czegoś konkretnego. Tak tylko, dla ambicji. I tak sobie pomyślałam... Pomyślałam sobie, czy byś mi nie pomogła. Napisałabyś mi prace. Z polskiego, z historii. Na początek. Zapłacę ci oczywiście. Za każdą stronę.

Kupisz sobie jakiś ciuch fajny czy coś.

Joanna przysiadła z wrażenia. Nie do wiary! Co ona sobie myśli! Nie powiem jej przecież, że to nie w porządku. Nieuczciwe. I że nie potrzebuję od niej pieniędzy na ubrania.

Na to się nie odważy. Od dawna ma dość tego, że traktują ją jak grzeczną prymuskę. Dlatego mówi:

- Sorry, ale mam egzaminy. Dwie kobyły zaraz na początku września. W ogóle nie mam czasu. Mogę pożyczyć ci książki albo notatki.

Kamila już nie słucha. Nie ubiła interesu, na rozmowy nie ma czasu.

Następnego dnia Joanna słyszy od matki: - Kryśka zaproponowała ci pracę w Warszawie? Podobno dobrze płatną? Może jednak zrezygnujesz z tego Torunia, co?

Nawet nie chce jej się niczego matce tłumaczyć.

Kiedy ona zacznie ze mną rozmawiać tak po prostu, zamiast słuchać tego, co mówią w sklepie?

Pierwszy tydzień sierpnia minął błyskawicznie. Załatwiłam tyle spraw! Zapisalam się na egzaminy: na czwarty i dziesiąty września. Od jutra wezmę się do nauki. Odwiedziłam historyka. Nic się nie zmieniło od momentu, kiedy skończyłam podstawówkę. Te same żarty, te same hasła.

Ustaliliśmy plan praktyki. Na początek tylko hospitacje. Zyskam dzięki temu trochę czasu na naukę do egzaminów. Za prowadzenie lekcji wezmę się po dziesiątym wrześniu.

Tomasza nie widziałam od naszego spaceru po Jagiełkowie. Widzę czasem jego furgonetkę, przejeżdża obok naszego domu tak szybko.

Mama chyba myśli, że przemówiła mi do rozsądku, bo wymawiam się od noszenia mleka, teraz już mnie nawet nie prosi, żebym zawoziła je Tomaszowi.

Budynek przypomina z daleka ognisko, do którego ze

wszystkich stron lecą ćmy. Albo jak mrowisko, do którego wracają po wieczornym apelu mrówki. Gorączka sobotniej nocy opanowała nie tylko Mazurkowo, ale i okolicę. Pod Miejski Dom Kultury, zwany popularnie emdekiem, podjeżdżają małe fiaty, duże fiaty, czasem błysnie nawet ściągnięty zza Odry, leciwy, sfatygowany, ale dobrze wyklepany opel albo i volkswagen.

Sypią się z nich, jak zboże z worków, panny ubrane w kolorowe pomadki i kuse spódniczki. Chłopaków, z nieodzownym na taką okazję żelem we włosach, w aurze old spice, z piwem albo papierosem w rękach, albo z jednym i z drugim jednocześnie, jest mniej niż dziewczyn.

Taksowanie zaczyna się już przed wejściem do sali, w długim, tętniącym testosteronem szpalerze, przez który musi przejść każda kandydatka na dancing queen. Muzyka dudni głośno, więc na swoje szczęście dziewczyny nie słyszą wszystkich komentarzy, które lecą za nimi jak natrętne muchy.

Joanna wchodzi w szpaler razem z Pawłem. Ma na sobie, tak jak wszystkie dziewczyny, krótką spódniczkę. Jeszcze nie minęła drzwi, a już żałuje, że tu przyszła. Jeszcze nie zdążyła poprawić sobie nastroju tą dyskoteką, a już czuje się gorzej niż w domu.

Spotkała Pawła znów nad jeziorem. Joanna z dzieciarnią, on sam.

Przyłączył się do jej obozu, pomógł zapanować nad niesformą gromadką.

Chyba nawet zaimponował jej trochę. Zapytała go wprost, czy słyszał o plotkach. Że romansował z Kaśką i że będą mieć dziecko. Śmiał się tylko.

- Kaśka obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. A te wasze baby nudzą się chyba za bardzo. Wiozłem Kaśkę z dzieciakiem do lekarza, jak jej męża nie było, to mi teraz będą

dziecko w brzuch wmawiać - zdenerwował się.

Potem ni z tego, ni z owego, zaproponował wyjście w sobotni wieczór. W pierwszym odruchu chciała mu odmówić, ale chwilę potem pomyślała, że to nic złego pójść do Mazurkowa i odreagować historię z Tomaszem.

W środku jest duszno od dymu i najzwyczajniej w świecie śmierdzi spoconymi ciałami. Paweł ciągnie koleżankę do baru. Przeciskają się przez pulsujący tłum, odbijają się od niego jak piłki. Piwo. Jedno, drugie i Joanna rusza na parkiet. Wygina się w rytm muzyki, Paweł jej wtóruje.

Właściwie to nie taniec, tylko gimnastyka, aerobik, ale co tam, naprawdę dobrze się bawię.

Po godzinie jest mokra i nie przeszkadza jej, że jest ciasno ani że panuje duchota. Po trzecim piwie tańczy z Pawłem jakieś tango-przytulango. Nawet nie zwraca uwagi na to, że jej dawny kolega z ławki, z którym rozkładała kiedyś lekcje geografii, przyciska się do niej coraz bardziej. Dopiero kiedy zaczyna niebezpiecznie chuchać jej w ucho i muskać ustami szyję, wrywa się z jęz. objęć i wybiega z dyskoteki.

- Asia, poczekaj! - Chłopak goni za nią. - Dokąd lecisz?

- Chcę wracać.

- Trzeba było mi powiedzieć. Przecież nie będę cię tu trzymał na siłę. Wracamy.

Noc jest chłodna. Idą szybko, tak samo szybko Joannie wietrzeje z głowy piwo. Kiedy tylko mijają ostatnie zabudowania miasteczka i wchodzą na asf. altówkę do Jagielkowa, Paweł próbuje chwycić ją za rękę.

Dziewczyna wrywa ze złością dłoń.

- Asia, no co ty? Tańczyliśmy razem tak blisko, fajnie było, nie zgrywaj teraz dziewicy orleańskiej. Chodź. No, chodź do mnie! - Przyciąga ją do siebie i próbuje pocałować. Joanna jest już całkiem trzeźwa.

Odpycha Pawła, prawie go przewraca i krzyczy głośno:

- Odczep się. Tańczyłam z tobą, ale to wszystko, rozumiesz?

- A co mógłbym zrobić, żeby liczyć na coś więcej? Może poproszę cię o dostawę mleczka? Kiedy mamusia przyjmuje zamówienia? Mogę się zgłosić już jutro? Szkoda tylko, że jestem taki młody, mówią, że ty lubisz starych. I takich, co mają kasę. Ciekawe, co ty naprawdę robisz w tej Warszawie, może studia to bajeczka dla mamusi, co? No przyznaj się, ty...

- W jednej chwili zamienia się z dobrze Joannie znanego kolegi w obcego i wulgarnego typa.

Zatrzymują go na chwilę ostre światła samochodu jadącego szybko od strony Mazurkowa. Kierowca mija nocnych spacerowiczów, zatrzymuje się jakieś dwadzieścia metrów przed nimi. Joanna biegnie tak szybko, jak może, to przecież furgonetka Tomasza. Paweł biegnie razem z nią. Pierwszy dopada auta.

- Dziękujemy panu! - wykrzykuje, otwierając drzwi i pakuje się do środka. - Wracamy z Asią z dyskoteki, impreza była świetna, nogi nas bołą, tak się wytańczyliśmy. Już myśleliśmy, że do rana będziemy tu we dwoje wędrować, niby ro-mantycznie, ale, wie pan, trochę zimno, musielibyśmy się po drodze jakoś rozgrzać, he, he, he.

Joanna w milczeniu zajmuje miejsce przy drzwiach. Odwraca głowę w stronę okna.

Tego jeszcze brakowało, żeby mnie Tomasz z tym bałwanem kojarzył. Boże, co za porażka! I dlaczego on się w końcu nie zamknie.

- Gdzie mam się zatrzymać? - Dojeżdżają do wsi.

- Może być zaraz na skrzyżowaniu - odpowiada Paweł.

- My z Asią idziemy do mnie, to znaczy do mojej babci, to mały kawałek, rano odprowadzę ją do domu, no, wie pan...

- Robi oko do Tomasza. - Kochanie, no, wysiadamy już, wiem, że jesteś zmęczona, ale nie rób takiej smutnej miny.

Tomasz czeka, aż oboje wysiądą. Ona wysiada pierwsza, żeby zrobić miejsce Pawłowi. Gdy łąduje obok niej, zadowolony z siebie, i klepie ją z rechetem po pupie, Joanna wymierza mu błyskawicznie i precyzyjnie prawy prosty w nos.

- Jedziemy! - rzuca do zdezorientowanego kierowcy, wskakując z powrotem do samochodu. - Podwieź mnie, proszę, pod dom. I nie myśl o mnie źle.

- Nigdy nie pomyślę o tobie źle, nawet gdy zobaczę stu facetów załatwionych przez ciebie prawym „prostym”. Czy przywieziesz mi jutro mleko?

To się nazywa mieć tupet.

- Nie wiem, czy będę miała czas. Uczę się do egzaminu.

- Weź ze sobą książki. U mnie jest cisza i spokój...a dziewczyna pewnie już wyjechała...

- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Przekonasz się, ile jest wart, dopiero wtedy, kiedy go wypróbujesz.

Przekonam się, ile jesteś wart dopiero wtedy, kiedy dowiem się, co to za dziewczyna. I tylko dlatego kapituluję. - Masz rację. Przyjdę.

Dziś rano ani jedna osoba w całym Jagielkowie nie pomyślała nawet przez chwilę o Joannie. Dziś gwiazdą numer jeden jest sołtys, Tadeusz Mickiewicz. Nie byłby gwiazdą, gdyby jego zięć Janusz nie wypił wczoraj pod sklepem czterech mocnych piw, a potem, po tych piwach, kilku butelek wina, na spółkę z Pawliniakiem i jednym z braci Baranowskich. Nie byłby też gwiazdą, gdyby jego zięć Janusz po wypiciu mieszanki niewybrednych trunków wrócił do domu i zasnął snem mocnym i spokojnym.

Owszem, Janusz Kot zwał się do łóżka, zasnął - ku

uciesze ślicznej córki sołtysa Bożeny i dwojga ich dzieci - i, niestety, tak samo szybko jak zasnął, obudził się. W jednej chwili przypomniał sobie o wszystkich za słonych zupach. I zbił swoją śliczną żonę. Zapomniał przy tym, że mieszka przez ścianę z teściem sołtysiem.

Kiedy Bożena wyrwała się z ciężkich łap męża, przybiegła do ojca z podbitym okiem, potarganymi włosami i z wielkim płaczem.

Tadeusz Mickiewicz nie lubił dużo mówić. Córkę jedynaczkę kochał nad życie. Zakazał jej wracać do mieszkania. Wziął z podwórka kłonicę i poszedł do zięcia wymierzyć sprawiedliwość.

Od tamtej pamiętnej soboty, kiedy to Joanna próbowała szukać zapomnienia w dyskotekowych rytmach, a Tadeusz Mickiewicz dawał lekcję wychowania zięciowi, od tamtej soboty równo przez sześć tygodni widok Janusza Kota miał podnosić na duchu te jagiełkowskie kobiety, których mężowie zamieniali się - sporadycznie albo i regularnie - w damskich bokserów.

Bo Janusz Kot przez sześć tygodni zarówno na rękę prawej jak i na rękę lewej nosił gips. Połamane przez teścia ręce do końca życia miały mu przypominać, że ich na żonę podnosić nie wolno.

Joanna zastanawiała się tego ranka, razem z matką, która przyniosła najnowsze wieści prosto od Kociołkowej, czy sołtys dobrze zrobił. Z jednej strony - miał rację, bronił córki. Z drugiej - to jednak był samosąd. Musiał mocno walnąć w rękę Janusza Kota, skoro je połamał.

Ale podobno Kot był tak pijany, że niewiele czuł.

Tak, należało mu się - zdecydowały razem z matką pod koniec śniadania. A Joanna poszła w myślach jeszcze dalej: Każdemu chamowi bijącemu kobietę powinno się łamać ręce.

Najlepiej w miejscu publicznym. Bez znieczulenia.

Do chaty Tomasza najnowsze wieści z Jagiełkowa jeszcze nie dotarły, choć Joanna odwiedza go dopiero po południu, po powrocie z kościoła i po niedzielnym obiedzie.

- Co za wieść! - Kręci głową Tomasz. - Kobiety biją mężczyzn.

Mężczyźni biją kobiety Mężczyźni biją mężczyzn...

- ...a czasem bywa i tak, że kobieta chciałaby zbić kobietę - kończy Joanna.

Tomasz ma zdziwioną minę.

- Długo mnie nie odwiedzałaś. Zaczynałem się już martwić, ale chyba niepotrzebnie, bo masz przecież swojego anioła stróża - mówi z przekąsem.

Joanna czuje, że się czerwieni. No tak, klasyczne: Tomasz ją, Joannę, zwodzi, podczas gdy sam ma kogoś innego, a teraz jeszcze będzie jej robił złośliwe uwagi.

- Owszem, zdawało mi się, że mam swojego anioła stróża, w białej furgonetce, ale on pilnuje już kogoś innego.

Tomasz marszczy brwi.

- Jeśli dobrze myślę, to jedyna biała furgonetka w okolicy jest moja.

Aniołem nigdy co prawda nie byłem, ale na stróża, to, owszem, mam zadatki. Nocą lubię nie spać. Nie wiem tylko, kogo niby pilnuję. Chyba że masz na myśli Rekxa.

- Mnie to zupełnie nie obchodzi, ale wróble w całym Jagiełkowie ćwierkają, że w twojej chacie można spotkać różne piękne dziewczyny.

- Dziewczyny? Jakie dziewczyny? Co za plotkarska wieść. Bywa tu tylko jedna piękna dziewczyna. No, dwie.

Przyznaje się tak łatwo, więc mu na mnie nie zależy. Gdyby zależało, próbowałby choć trochę kręcić. A on tak wprost. Chyba zaraz się rozplącę. Nie, nie rozplącę się wcale.

Niech wie, że mam w nosie wszystkie jego historie z wszystkimi pięknymi dziewczynami. Że po mnie to po prostu spływa.

Joanna jest tak zajęta kreowaniem własnej osoby, po której wszystko, ale to absolutnie wszystko, co związane z Tomaszem, spływa, że nie widzi nawet, jak idzie do niej, nachyla się i mówi bardzo poważnie.

- Joasiu, tak posmutniałaś. O co chodzi?

- O nic.

- Chodzi o Kasię?

- Nie obchodzi mnie żadna Kasia. Chciałam ci tylko powiedzieć, że przyniosłam mleko i rozliczenie za ostatni tydzień od mamy. Zupełnie przy okazji opowiedziałam ci, co się wydarzyło u sołtysa w domu. Co druga kobieta zazdrości teraz Bożenie tak świętego ojca. I to wszystko.

Wracam do domu. Cześć.

Raptownie wychodzi, ale Tomasz zatrzymuje ją w ganku.

- Kasia to moja córka. Nie mówiłem ci, że chce mnie odwiedzić?

Joanna staje w pół kroku. Jeśli nie opanuje teraz radości, która każe jej podskoczyć wysoko albo na przykład rzucić się mu na szyję, Tomasz dowie się, jak bardzo jej na nim zależy

A zresztą, co mi tam.

- To cudownie! Cudownie, że odwiedziła cię córka! Tomasz nie kryje zdziwienia. Sam nie cieszył się tak bardzo z przyjazdu Kasi, jak Joanna.

- Wzięłaś książki do nauki? Bo ja mówiłem o tym całkiem serio.

- A ja twoje słowa całkiem serio potraktowałam.

- Wolisz czytać pod dachem czy na powietrzu?

- Na powietrzu jest przyjemniej, ale zupełnie nie mogę

się skupić.

Kiedyś poszliśmy z koleżanką do parku. Wiatr przewracał kartki książek, przed nosem przejeżdżali nam rowerzyści, rolkowcy matki z dziećmi w wózkach. Po piętnastu minutach skupiania na siłę zaczęliśmy gadać.

Przegadałyśmy pięć godzin! Wróciłyśmy do akademika opalone i zmęczone od gorąca. Poszliśmy spać. Tak więc powietrze odpada.

- W takim razie proponuję ci sypialnię.

- Tak od razu, bez drinków i puszczania płyt? - Joanna nie traci rezonu.

No, wyluzowałam się mocno przez te dwa miesiące znajomości.

- Proponuję ci sypialnię jako miejsce do wkuwania. Nie będę cię rozpraszał, gotując obiad i kręcąc się po mieszkaniu. Na życzenie gwarantuję dostawę herbaty. Kupiłem też specjalnie dla ciebie mieszankę studencką. Orzeszki, rodzyнки i, zdaje się, jakieś nasiona, które dobrze robią na mózg, do pojadania w czasie nauki.

Choć ma ostro pracować, rozpiera ją radość. Rzuca się na materac, rozkłada książki i zaczyna czytać. Zasypia przy pierwszym rozdziale.

Jest druga w nocy, ale wcale nie chce mi się spać. Mogę spokojnie kochać sobie Tomasza. Ta śliczna dziewczyna to jego córka. Siedemnaście lat, a wygląda na starszą.

Co za ulga! Obiekt moich westchnień ma córkę, a nie narzeczoną!

Nie wiem tylko, czy to powód do radości, czy do smutku raczej.

Narzeczoną można przecież jakoś spacyfiko-wać, a z prawie dorosłą córką, która jest żywym, nieustannym i nie do wymazania przypomnieniem, że Tomasz przeżywa właśnie tak

jak ja, młodość, ale niestety drugą już, nic nie zrobię. Nic.

A może... Może pisane są mi nieprzeciętne historie, zwłaszcza że moja nadzieja na przeciętne kolegowanie się z przeciętnym Pawłem prysła. Okazał się nieprzeciętnym gnojkiem, który mnie obraził i upokorzył tak, że nawet nie chce mi się tego opisywać.

A Tomasz? Tomasz jest wspaniały! Wszystko, co się dzieje, przyjmuje tak naturalnie. Zasnąłam u niego nad książką, zupełnie niechcący. Obudziłam się wieczorem, otulona kocem. Zjedliśmy kolację, wypiliśmy po kieliszku wina, opowiedziałam mu mikrohistorię meganieporozumienia z Pawłem i wróciłam do domu. Tomasz odprowadził mnie.

Kolejne bardzo miłe, odświeżające, jak zawsze u niego, spotkanie. I bardzo sterylne. Bez żadnego przytulania, pocałunku. A jednak między nami nie jest jedynie tak, jak między ojcem i córką. Przyłapałam go kilka razy, kiedy mi się przyglądał. To chyba niedobre słowo. On mnie tak badał wzrokiem, jak mężczyzna bada kobietę, kiedy pierwszy raz się spotykają. To jakby smakowanie drugiej osoby oczami tylko.

Może on jest nieśmiały? Na szczęście nie na tyle, żeby nie zaprosić mnie na jutro. Już czekam.

Cała kuchnia pachnie koprem, czosnkiem, chrzanem, aż kręci się w głowie. Na stole stoi chyba z pięćdziesiąt lśniących czystością słoików. W

miskach - zielone, jeszcze kłujące ogórki. Zerwane dziś rano. Matka i Joanna upychają ciasno ogórki. Przetykają przyprawami. Rozmawiają swobodnie jak nigdy, żartują.

Czyżby to cisza przed burzą? Ciekawe tylko, co grom przyniesie.

Grom przynosi Wojtka. Z rozbitym nosem i łzami jak groch.

- Co się stało? - Pierwsza biegnie matka, Joanna z

ogórkiem w rękę za nią.

Wojtek zamyka się w łazience. Milczy. Pukają do niego obydwie, bez skutku: zamknięte.

- Pokaż, zobaczymy tylko, czy nie trzeba do lekarza - namawia Joanna.

Wojtek nic nie mówi, słychać tylko szum wody z kranu i szloch.

Córka spogląda pytająco na matkę, matka na córkę. Nie mają pojęcia, co robić. Joanna namawia na odstępianie od łazienki. Matka woli naciskać klamkę i pertraktować przez drzwi.

Nawet nie udaje jej się zacząć, bo do domu wpadają jak bomba bliźniaczki.

- Wojtek żyje?! - Są przerażone.

- Żyje - odpowiadają chórem matka i Joanna. - Ale co wam się stało?

- Nic nie mówcie - ostrzega zza drzwi Wojtek.

- I tak się wyda - odpowiadają rezolutnie dziewczynki.

- Wyda się, jak wypalacie. Nic nie mówcie. Bo pożałujecie! - Wojtek próbuje być groźny, ale pogróżki zza zamkniętych drzwi nie robią należytego wrażenia. Dlatego słyszy chóralne: - Sam pożałujesz!

Matka wie, jak przerwać słowne przepychania. Najlepiej zrobić to jak najszybciej. Bez interwencji cała trójka bez końca będzie wbijać kolejne słowne gole do bramki przeciwnika. Najlepsza jest sprytna sztuczka. Dlatego matka puszcza oko do bliźniaczek i szepcze im coś do uszu. Basia i Kasia odzywają się zgodnie.

- Dobra. Nic nie powiemy, ale szczurek będzie przez tydzień nocował z nami.

Interes jest ubity. Wojtek i jego rozbity nos zostają w łazience.

A żeńska część rodziny opuszcza na palcach plac pod drzwiami łazienki i wychodzi przed dom. Pierwsza matka, za nią Joanna, a potem bliźniaczki. Są potargane, na ich buziach widać ślady łez. Wycierały oczy brudnymi rękami, bo na policzkach są szare smugi.

- No to mówcie szybko, co się stało, zanim Wojtek się zorientuje -

nakazuje matka.

Dziewczęta krzyżują wzrok i nabierają powietrza. - Bo myśmy obroniły Wojtka - mówią zgodnie. Basia szturcha Kasię i jednym susem śmigają do domu.

Wystraszyła je Pawliniakowa. Stoi przy bramce nastroszona. Już na pierwszy rzut oka widać, że nastawiona jest bojowo.

O rany, wygląda na większą niż zazwyczaj. I pewnie jest mocniejsza.

Współczuję mamie. Trudno jej będzie załatwić sprawę w cywilizowany sposób.

Pawliniakowa nie jest sama, przyprowadziła syna. Rafał chowa się za jej plecami, próbując wyrwać się z objęć matki. Jest czerwony jak cegła.

- Noo, pani Wando, ładnie pani te swoje dzieci wychowuje.

Łobuzyjedne! Od razu widać, że męskiej ręki im brak! Przydałoby się skórę złoić raz i drugi, to chodziłyby jak w zegarku! A pani im za bardzo popuszcza. Kto to widział! - Pawliniako-wa strzela jak działo. Jest już przy Joannie i matce i z każdym słowem podnosi głos coraz bardziej.

Przecież nigdy się nie bili. Wojtek nie jest aniołem, ale nie zaczepia.

Z Rafałem są w jednej klasie. Może bliźniaczki coś zmalowały, nadokuczały Rafałowi, potem Wojtek je bronił i w

końcu cała trójka na niego napadła?

- No, mów, synek, co ci te łobuzy zrobiły Mów, synek - zachęca Rafała. - No, mów, synek. Mamusia cię skrzywdzić nie pozwoli.

Z bliska czuć, że Pawliniakowa zdążyła już łyknąć piwa.
Rafał

spuszcza głowę i nie odzywa się ani słowem, przestępuje tylko z nogi na nogę i podejmuje kolejne próby wydostania się z uścisku matczynej ręki.

Ręka ta trzyma go jednak mocno. Druga wymachuje przed nosem Wandy Marzec.

- Popamiętacie mnie jeszcze! Jak zobaczę któregoś z tych łobuzów obok Rafała, to nie będzie zmiłuj. Nakopię szczeniakom i odechce im się zaczepiania! - wrzeszczy Pawliniakowa.

Matka Joanny jest opanowana. - Wojtek cię zaczepił? - pyta Rafała.

Chłopak milczy jak zaklęty. - O, widzi, odezwać się boi. - Głaszcze go po głowie Pawliniakowa. Rafałowi pieszczoty pijanej matki najwyraźniej są nie w smak.

- Jeśli Wojtek, Kasia albo Basia zrobiły coś brzydkiego, coś złego, zaraz cię przeproszą - mówi matka Joanny

Matka ma klasę. Ja wyrzuciłabym już tego babsztyla, a ona jakby w ogóle nie słyszała tych bredni.

- A pewnie, że zrobiły! I muszą przeprosić, i to szybko, a moja noga tu więcej nie postanie. I Rafałka też! - Kobieta jest niezmordowana.

Matka znika na chwilę w domu. Wraca z niesformą trójką. Planuje konfrontację, ale Wojtek wyrywa się do przodu i rzuca na Rafała.

- O, widzi! Patrzy tylko, co za łobuza wychowała! - wytyka sąsiadka.

Joanna i matka siłą odrywają najwyraźniej żądno krwi Wojtka, który wrzeszczy, że nie przeprosi Rafała nigdy przenigdy. Dziewczynki stoją ze spuszczoneymi głowami i powtarzają murem za bratem. - Nie przeprosimy. Nie przeprosimy.

Matka próbuje łagodzić sytuację: - Pani Pawliniakowa, niech się pani nie gniewa. Dzieci jak to dzieci, raz się kłóca, raz godzą. Nie wiemy wcale, co się stało. Ale przepraszam za moje dzieci.

- Przepraszam, przepraszam! - mamrocze Pawliniakowa.

-

Wszystkim powiem, żeby się od Marców łobuzów z daleka trzymać, bo rozpuszczone jak dziadowski bicz. Rafałku, idziemy!

Na odchodnym spluwa na ziemię. Bramka trzaska. No to koniec przedstawienia. Słyszało pół wsi, pewnie Tomasz dowie się wszystkiego, zanim go spotkam.

- A z wami porozmawiam potem - mówi do dzieci. Wcale nie groźnie ani surowo. Joanna patrzy na nią ze zdumieniem. Matka nigdy nie płacze, a teraz widać, że ledwo kryje cisnące się do oczu łzy. Kiwa na rodzeństwo i zabiera je do środka, do siebie na poddasze. Niech matka chwilę odetchnie. Tak oberwać od Pawliniakowej, która wykorzystuje bez oporu dobre serce matki, to cios poniżej pasa. Joanna musi dowiedzieć się, o co poszło. Idzie łatwiej, niż myślała.

Za chwilę wie wszystko. - Rafał powiedział na Wojtka „sierota” -

bliźniaczkom rozwiązują się języki. Mówią jedna przez drugą: - Śmiał się, że sieroty to się zamyka w domu dziecka. I mówił, że nasza mama mówiła jego mamie, że odda Wojtka do domu dziecka, bo ma nas za dużo. Wojtek mówił, że to nieprawda i że nie jest sierotą, a Rafał śmiał się z niego i

krzyczał: „Sierota! Sierota! Sierota!”.

- No to mu dołożyłem - burczy nieoczekiwanie chłopiec.

- Ale Rafał bił się mocniej - mówią dziewczynki.

- Wcale nie mocniej, tylko się potknąłem.

- I przywalił Wojtkowi w nos, i zaczęła mu lecieć krew i Wojtek się przewrócił, wtedy Rafał go kopnął, no i nie wytrzymałyśmy! - Bliźniaczki zrywają się z tapczanu, żeby pokazać, jak to nie mogły znieść widoku kopanego brata.

- I całą trójką rzuciliście się na jednego, tak?

- Nie. Tylko my dwie. Przecież nie kopie się leżącego. I my nie biłyśmy Rafała, tylko go trochę przytrzymałyśmy, odciągnęłyśmy go od Wojtka. A potem uciekłyśmy Bo on chciał się z nami bić, a my nie bardzo.

Rafał w szkole ciągle z kimś się bije. Ale wołał za nami, że my też jesteśmy sieroty I, i, i... kurwy

Tego już za wiele. Zaraz sama dokopię temu gnojtkowi. Dobrze, że dziewczynki nie bardzo wiedzą, co mówią. Gdyby wiedziały, nie wymówiłyby tak łatwo takiej obelgi.

- Asia, teraz, jak taty nie ma, to my się nazywamy sieroty? - pyta Wojtek.

- Jak ktoś nie ma taty albo mamy, to oficjalnie można powiedzieć, że jest półsierotą. My jesteśmy półsierotami. A jak ktoś nie ma obojga rodziców, to jest sierotą. I nie ma w tym nic złego. Sierota czy półsierota to nieważne. To nie znaczy, że ktoś jest gorszy. Ma tylko inną rodzinę niż wszyscy. Zapamiętajcie to sobie. I mama na pewno nikogo nigdy nie odda, a jak ktoś będzie wam opowiadał takie brednie, w ogóle nie zwracajcie na niego uwagi.

Łatwo mówić, trudniej wykonać. Ale chyba to powinnam im powiedzieć. A teraz muszę jeszcze wytłumaczyć mamie, że świetnie sobie radzi, zastępując ojca. I że naprawdę dobrze nas wychowuje, tak.

I stało się to, co Joanna przeczuwała od dłuższego już czasu. Matka zamilkła.

Jest jak ryba. Jak kamień. Gorzej niż kamień, bo kamień leży sobie gdzieś w polu i jest mało prawdopodobne, by jego milczenie robiło na kimkolwiek wrażenie.

A matka jest w domu, Joanna mija się z nią codziennie wiele razy, Joanna matkę kocha. I cierpi.

Cisza trwa już dziesiąty dzień, nawet Mirek zauważył znad telewizora, że to nienormalne, żeby żyć pod jednym dachem i się do siebie nie odzywać, cholera.

I chociaż Joanna jest dużo starsza, niż wtedy, gdy wybrała się na

„Ducha”, trudno jej znieść złowrogie milczenie matki. Matka nie tylko milczy. Matka traktuje córkę jak powietrze. Nic od niej nie chce. Nic jej nie proponuje. Na obiad albo kolację wołają siostrę bliźniaczki.

Zaczęło się od tego, że Joanna zdaniem matki za dużo przesiaduje

„u pana Tomasza”. Że nic dobrego z tego nie wyniknie. Bo co może mieć wspólnego z kimś, kto mógłby być jej ojcem? Wiadomo przecież, o co takim chodzi. Niech Joanna nie będzie naiwna.

Skończy się to bieganie do niego wielkimi łzami i wielkim wstydem.

Czy Joanna wyobraża sobie życie z kimś takim? Przecież jak się pojawią dzieci, to będą do niego mówić „dziadku”. Czy ona o tym pomyślała?

Nie pomyślała. To fakt. Nie powędrowała tak daleko. Na razie bez reszty pochłania ją przyjaźń z Tomaszem. Okazała się możliwa, mimo że Joanna słyszała setki razy, że nie ma mowy o przyjaźni między kobietą a mężczyzną.

Poza tym matka wcale nie wierzy, że ona tam, „w chacie

pana Tomasza”, uczy się do egzaminów. Na pewno je obleje. I cała wieś będzie śmiać się z Joanny

Tu przyznała matce rację. Nauka szła jej kiepsko, bo najwięcej czasu pochłaniały długie rozmowy z Tomaszem.

On robił te swoje meble, a ona siedziała z nosem w swoich książkach, próbowała coś czytać, a potem zaczynała podglądać, jak pracuje. Stąd był już tylko krok do tego, by padło jakieś niewinne zupełnie zdanie, na przykład: „A może napijemy się herbaty?”. Potem było drugie, trzecie i zwykle po takim wstępie wybuchał wulkan wspomnień, przeżyć, planów i marzeń, żartów, opowieści, wyznań.

Nie udawała już przed Tomaszem kogoś innego, lepszego i mądrzejszego, z inną przeszłością i bardziej na czasie, niż była w rzeczywistości.

On, czego była równie pewna, jak swojej szczerości, otwierał się przed nią jak u najlepszego psychoterapeuty

Opowiadał jej o córce, która nie ma do niego ani cienia żalu za to, że odszedł, która kocha go bardzo, bardzo mocno i przepada za nim.

Przyprowadza nowych narzeczonych. Przychodzi do niego na korepetycje z matematyki, fizyki i chemii. Kiedy Tomasz przyjeżdża do Warszawy idą razem na koncert i do teatru, i nigdy nie zdarzyło się tak, żeby Kasia nie miała wtedy dla ojca czasu.

Czasem kryje ją przed matką, kiedy zamiast wrócić na noc do domu, zabaluje na imprezie. Tomasz ją rozumie, nie krytykuje zanadto szaleństw nastolatki, przyjmuje kolejne jak nowy - trzeci, czwarty i piąty -

kolczyk w uchu córki.

Joannie bardzo to imponuje. Co za ojciec, ten jej Tomasz (nie wiadomo kiedy zaczęła o nim tak właśnie myśleć: „mój Tomasz”).

Joanna opowiadała o swoim ojcu. O tym, jak umarł i jak jej go brakuje.

Wspominała dzieciństwo. Jak bardzo zawsze chciała być samodzielna i niezależna, jak bardzo chciała wyrwać się z Jagielkowa do innego świata. Dlatego pojechała do szkoły z internatem.

Wczoraj właśnie wypłuła z siebie cały ten internat, cztery lata w innym świecie, z którego potem nie umiała się wydostać i który ciągnie się za nią do dziś. Przy tych historiach płakali obydwój - ze śmiechu.

W jej szkole było ledwie kilkunastu chłopaków. W klasie - same dziewczyny. Te same - w internacie.

Chłopaków widywały na andrzejkach i dyskotecę sylwestrowej.

Szkoła dziewczęca zapraszała męskie technikum, a potem był rewanż.

Przed maturą tylko nieliczne dziewczyny miały kolegów, których mogły zaprosić na studniówkę. Reszta gorączkowo próbowała kogoś załatwić. Te bardziej przebojowe albo lepiej urodzone (i nie chodziło tu o pochodzenie, ale o brata albo kuzyna w rodzinie, w rozsądnym wieku) załatwiały towarzyszy do poloneza nieśmiałym koleżankom.

I tak w kawiarni Cicha styczeń był miesiącem swoistych randek w ciemno, a randkom tym towarzyszyły próby poloneza pod okiem wuefistek odprawiane w sali gimnastycznej.

Gośka miała brata i przyjaciela brata (który jej akurat nie pasował) dla Asi i Basi.

Danka zaprosiła trzech kuzynów z dalekiego miasta dla Zosi, Iwony i Monisi.

Agnieszka, szczęściara (osobisty chłopak na studiach), zorganizowała dwóch kolegów z roku tegoż chłopaka dla Marty i Lucyny.

Joannę miała uratować pełna dobrych chęci, śliczna jak z obrazka, Grażyna. Od pierwszej klasy jako jedyna w ich pięcioosobowym pokoju, miała prawdziwego chłopaka, do którego jeździła co tydzień, pisała listy i tęskniła. Właśnie był w wojsku. Miał kolegów. Ze sobą przywiózł dwóch - po jednym dla Joanny i dla Doroty. Ten dla Joanny był, co prawda niższy od niej i trochę grubawy, ale rozmowa w Cichej, wyjąwszy dość grube żarty wojaków, była nawet sympatyczna.

Co tam. Liczyło się to, że Joanna nie będzie gorsza i przyjdzie na studniówkę z osobą towarzyszącą (czy to nie świetne określenie na tych organizowanych w pośpiechu kolegów, braci i kuzynów).

Próba poloneza w sali gimnastycznej też wypadła całkiem nieźle.

Projekt „Wojsko dla uczennic” rozsypał się w drodze na dworzec autobusowy. Kandydat na „osobę” ni stąd, ni zowąd chwycił Joannę za rękę. Taka poufałość zdecydowanie nie przypadła egzaltowanej maturzystce do gustu.

Tego samego dnia, jeszcze w autobusie do koszar, chłopak Grażyny obwieścił koledze, że na studniówkę u boku Joanny nie ma co liczyć. Jak to wytłumaczył, dziewczyna nie wie do dziś.

Już była pewna, że z imprezy zrezygnuje albo zatańczy poloneza jako jedyna solo (koleżankom poszło lepiej, w Cichej i w sali gimnastycznej), a będzie to taniec sromotny.

Ale w tygodniu poprzedzającym wielką imprezę, gdy już wiadomo było, że w głosowaniu nad menu nad zwolenniczkami słonych paluszków i chipsów górę wzięła opcja aktywistek, które nie wyobrażały sobie studniówkowych stołów bez rosółu, bez schabowych z pieczarkami i obowiązkowego barszczu z pasztecikami o północy, a więc w gorącym tygodniu poprzedzającym studniówkę do Joanny podeszła Magda. Tak

się pogubiła w organizowaniu „osób towarzyszących”, że wyszło jej o jedną za dużo. I jeśli ona, Joanna, nadal nie ma nikogo, to Magda jej taką osobę odstąpi.

Studniówka była świetna i nawet schabowe, rosół i barszcz były strawne. „Osoba” tańczyła (na szczęście) bardzo dobrze i odzywała się (też na szczęście) bardzo mało.

Dopiero kiedy Joanna opowiedziała historię przedstudniówkowych perypetii Tomaszowi, po raz pierwszy w życiu odkryła, że jest po prostu śmieszna. Przeżycia, które wydawały się jej jeszcze wczoraj bolesne, dramatyczne i nawet nieco wstydlive, dziś zamieniły się w anegdotę.

Tomasz opowiadał o pierwszej swojej dziewczynie. Zakochał się w niej dokładnie wtedy, kiedy Joanna przyszła na świat, czyli w klasie maturalnej, tuż przed studniówką. Dziewczyna była piękna i dobra, i zatańczyła z Tomaszem - co było jasne jak słońce - poloneza. Piękna znajomość skończyła się, gdy Julia została studentką. Znalazła sobie kogoś innego. Zdradzony Tomasz bardzo to przeżył, co odbiło się straconym rokiem na politechnice.

Nie, to niemożliwe, by Joanna zanotowała w pamiętniku wszystko to, o czym rozmawiali. Musiałaby napisać książkę. Wiedziała jedno -

nigdy wcześniej z nikim nie czuła się tak dobrze, jak z nim. To absolutnie niemożliwe, że dzieli ich różnica dwudziestu lat. Dałaby naprawdę wiele, by zamienić tę przyjaźń w coś więcej.

Matka ma jednak inne zdanie. Joanna ma natychmiast przestać odwiedzać pana Tomasza.

Joanna jest już jednak dużą dziewczynką, tak naprawdę całkiem dorosłą, i wie, co robi. Za nic nie zrezygnuje z Tomasza. Przetrwa cichy szantaż, nawet jeśli matka będzie milczeć latami.

Pierwszy dzień w szkole mija bardzo sympatycznie. Joanna siedzi w pokoju nauczycielskim. Uśmiechają się do niej, wzorowej przecież kiedyś uczennicy, nauczyciele. Jest jej matematyczka i polonista (ach, ach), jest ta sama pani od biologii i pan od geografii.

Wojtek, Kasia i Basia pękają z dumy, że ich siostra jest teraz w szkole panią. Kiedy obserwuje lekcję w klasie dziewczynek, obydwie ciągle zerkają na ostatnią ławkę, zajmowaną przez starszą siostrę, poszturchują się i chichoczą.

Historyk Wojciech Mocny nie wytrzymuje:

- Marcówny! Proszę się uspokoić, bo inaczej pójdziecie do mapy Praktykantka próbuje skupić się na lekcji i robić jakieś notatki, bo pani doktor od dydaktyki ma fioła na punkcie papierów: uwielbia tabele z hospitacjami, ramki, punkty i podpunkty, zapowiedziała, że dokładnie przyjrzy się każdemu konspektowi z lekcji, a Joanna nie może sobie pozwolić na problem z zaliczeniem teraz, kiedy zmienia uczelnię.

A jednak myśli krążą gdzieś wokół przyjaciela i milczącej matki.

Joanna musi wziąć sprawy w swoje ręce. Matki do niczego nie przekona.

Trudno. Musi jednak, musi porozmawiać z Tomaszem. Nie o wspomnieniach z dzieciństwa ani o naprawianiu świata. Musi porozmawiać o nich.

Mocny prowadzi lekcję dokładnie tak samo, jak wszystkie te, które prowadził rok, dwa i dziesięć lat temu. Huśta się w krześle i bawi wskaźnikiem, a najlepsza uczennica czyta kawałek z podręcznika. Reszta piątej B dłubie w nosach, pisze listy spisuje zadania z matematyki albo ziewa, patrząc w okno. Czasy starożytne mało ich obchodzą. Zresztą, dla nich pewnie Mocny jest starożytny tak samo, jak Hammurabi.

Dzwonek zrywa całą gromadę na nogi. Nauczyciel

swoim zwyczajem przetrzymuje wszystkich jeszcze parę minut, zanim nie skończy zadawać do domu.

Kiedy po szkole Joanna wysiada na przystanku w Jagielkowie z pekaesu, dopada ją obławowana siatami Brzozowska.

Dziewczyna mówi jej dzień dobry. Wie, co się święci. Idą przecież w tym samym kierunku, a sąsiadka nigdy w życiu nie zrezygnuje z tak świetnej okazji, jak wspólna - krótka, bo krótka - przechadzka, by się czegoś dowiedzieć. To numer jeden wśród jagielkowskich wszystkowiedzących. Przykleja się teraz do Joanny.

Ciekawe, jak długi będzie wstęp.

- No, Aśka, mówią, że nie wracasz na studia.

Aha, na początek edukacja. No to masz, kobieto. Chyba to będzie dobry uczynek, jeśli poprawię ci nastrój.

- Bo nie wracam.

- I co będziesz robić? Z jednej krowy wszyscy nie wyżyjecie, nawet jeśli trafi się jakiś specjalny klient, co to dobrze płaci za dostawę do domu... - Brzozowska bada grunt.

No, szybko przechodzisz do konkretów. Pójdę ci na rękę.

- Wyżyjemy, pani Brzozowska, wyżyjemy. Ten pan z Warszawy naprawdę dobrze płaci.

- Mówią, że nie tylko za mleko.

- Taak? A za co jeszcze?

- Oj, nie będę powtarzać, bo wstyd, ale wiadomo przecież, o co chodzi. Bogaty pan i ładna, młoda dziewczyna, oj, Aśka, Aśka.

Ty mało jedna!

- A ja nie wiem jednak, o co chodzi. Bo do łóżka to chodzimy z miłości, pani Brzozowska. A właśnie, nie ma pani przypadkiem prezerwatywy pod ręką? Zapomniałam kupić w Mazurkowie, a wie pani, nie chcę tak jak Kasia od Woźniaków... - Joanna z uśmiechem puszcza oko do Brzozowskiej, ale

ta w jednej chwili zawija się i biegnie do domu, biegnie tak szybko, jakby miała buty na sprężynach, a siatki były puste.

Dostarczyłam jej materiału na miesiąc. Ciekawe, czy mama zamilknie od jutra jeszcze bardziej.

Tomasz ma dziś imieniny Joanna da mu w prezencie kaktusa.

Niech ma od niej coś żywego, co będzie rosło i zmieniało się w jego oczach. Jeśli nawet zapomni o podlewaniu (można się po nim tego spodziewać), to ostatecznie ona, przyjeżdżając do Jagielkowa, może zaglądać do roślinki. Tylko kaktus może to przeżyć.

Tomasz krząta się przy ognisku, pierwszym i ostatnim pewnie tego lata.

Chyba będziemy tu do rana, bo naszykował naprawdę wielką stertę drewna. To dobrze, spokojnie poczekam na najlepszy moment, żeby mu wreszcie powiedzieć.

Joanna wyciąga się na kawałku deski okrytej kocem, jakby była na rzymskiej uczcie. Pół leżąc, pół siedząc, trzyma kij nad ogniem i piecze chleb, cebulę i żółty ser. Nie wie, czy bardziej grzeją ją płomienie, czy czerwone wino.

Nie może doczekać się choć trochę romantycznego momentu, by odkryć przed Tomaszem, co jej w duszy gra. Bo jak mu wyznać miłość, skoro jak na złość wzięło ich na wspominki ojczyzniano-historyczne?

Może to efekt uboczny mieszania drinków i wina? Zamiast podziwiać niebo zasłane gwiazdami, pełne lecących meteorów, omawiają Peerel.

Tomasz właśnie upiera się, że Joanna nic nie może pamiętać z tych czasów. Jest nieskażona przeżyciami trudnych lat, ale też przez to jej spojrzenie na świat jest niepełne.

- Joasiu, z całym szacunkiem, ty nie widziałas czołgów na ulicach.

Nie wiesz, co to jest godzina policyjna. Ani rozwożenie ulotek tramwajem.

- Oj, nie wiem, nie wiem. Ale wiem, co to jest brak Tele-ranka w pewien niedzielny grudniowy poranek. I brak czekolady. Z bratem zbieraliśmy papierki po czekoladach. Było ich mnóstwo. Kiedyś nas napadło, żeby je wszystkie otwierać, oglądać, podziwiać. Wąchaliśmy te papiery i wyskrobywaliśmy z nich czekoladowe kropki i przecinki. Tak nam się chciało czekolady! Potem już była, taka rębana wielkim tasakiem, na wagę, ale niedobra.

- Oj, dziecko, świat nie sprowadza się do tego, czy możesz dostać czekoladkę, czy nie. Chodzi o coś zupełnie innego.

- A o co chodzi?

- O wolność, równość i braterstwo.

No tak, Tomasz jest wstawiony. Zaraz jej opowie, jak prowadził lud na barykady i może jeszcze niechący jakiś mur przeskoczy, nie ten, co trzeba. Lepiej go uratuję, żeby potem nie było mu wstyd.

- U nas w tamtych czasach z wolnością nie było najgorzej, każdy, kto chciał, mógł stać w kolejce pod sklepem. - Ratuje go Joanna. - Towar przyjeżdżał raz na tydzień, w poniedziałki. Sklep otwierał się o trzeciej, ale już od rana kobiety zajmowały kolejkę. Miały tematy do rozmów do momentu, kiedy podjeżdżał samochód z towarem. Bo potem twardo pilnowały swoich miejsc. Moja mama kończyła pracę w chwili, gdy otwierały się drzwi sklepu. Razem z innymi kobietami, które chodziły do pracy, a było ich w Jagielkowie trzy, nie miała szans w polowaniu na towar. Ogonek kolejki dostawał jedynie chleb.

I wtedy w sukurs matkom przyszliśmy my, dzieci. Ja kończyłam szkołę w południe i razem z dwoma czy trzema

koleżankami i jakimś kolegą biegliśmy prosto ze szkolniaka pod sklep. Sąsiadki miały swoje sprawy a my - swoje. Rozpaliliśmy na przykład ognisko albo graliśmy w karty Ale chociaż bawiliśmy się wokół sklepu razem, to liczyło się, kto pierwszy przybiegł pod drzwi i jakie miejsce zaklepał dla swojej matki. I potem, pamiętam, każda matka mogła wynieść z radością ocynkowane wiadra i emaliowane garnki, albo gumofilce, albo zapas szamponu jajecznego na cały rok. Zależy, co akurat rzucili.

- Ty znowu o konsumpcji.

- Mogę o kulturze - dziewczynie nie zamykają się usta. - Kiedyś pan od historii zarządził konkurs na pracę pod tytułem Zjazd PZPR. I ja zrobiłam taki album, z wycinkami z prasy chociaż nie bardzo umiałam odróżniać, co to było posiedzenie sejmu, a co to plenum KC, ale w końcu dałam radę, wycięłam co trzeba, dokleiłam zdjęcia, wykaligrafowałam kolorowe podpisy, rzuciłam na to odpowiednie do tematu ramki, wiesz, dużo czerwonego koloru, no i efekt był taki, że zajęłam pierwsze miejsce, razem z moją koleżanką z ławki, Wio-letką, czego jej darować do dziś nie mogę. W nagrodę były dyplomy, wręczane na apelu, do tego uścisk historyka oczywiście, no i pani dyrektor. Słowo honoru. Mam ten dyplom do dziś! Tylko po albumie ani śladu, szkoła zatrzymała, a szkoda, bo to unikalny i niepowtarzalny dokument, świadectwo czasów minionych i tego, że kiedy byłam młodziutka, w głowie miałam tak zielono, jak zielono było na jagiełkowskich łąkach w maju.

Mężczyzna kręci głową i zaczyna się śmiać. Śmieje się głośno i ogłasza temat za zamknięty Jego ulotki i jej albumy, jej czekolada i jego czołgi, jego godzina policyjna i jej Teleranek. będzie między nimi porozumienia.

- Zobacz, gwiazda spada! - Joanna chwyta Tomasza za ramię. -

Pomyśl życzenie, szybko!

- Nic nie przychodzi mi do głowy.

- Pomyśl, bo ja pomyślę za ciebie! - Grozi mu palcem.

Nie czeka na pozwolenie.

Żeby Tomasz mnie pokochał. Żebyśmy mogli być razem.

- Wiesz, to mogłoby być groźne, takie życzenie twoje na mój temat.

Nie chodzi o to, że ci nie ufam, ale... będzie chyba lepiej, jeśli sam je wymyślę. Taka sprawa wymaga czasu i namysłu. Zastanowię się spokojnie, przeanalizuję...

- Za późno, gwiazda już spadła - przerywa Tomaszowi. Bezwiednie ściska go za ramię. Usta jej drżą, chociaż wcale tego nie chce.

- To nic, to nic, nie płacz tylko, gwiazdy nie są nam dziś potrzebne. -

Nachyla się z szeptem ku Joannie.

Kręci mi się w głowie. O rany, Tomasz smakuje dymem z ogniska!

Joanna z listem w ręku siedzi przy oknie i patrzy w niebo. Niebo w cudownym kolorze indygo, niezamazane światłami i spalinami wielkiego miasta.

Patrzy w niebo, wzdycha i robi remanent z ostatnich dwóch tygodni.

Minęły nie wiadomo kiedy. Szkoła - dom, dom - szkoła. Potem Warszawa raz i Warszawa dwa.

W szkole z ostatniej ławki przyglądała się lekcjom i myślała o Tomaszu. W domu zapadała się w książki i notatki. Nie bardzo wiedziała nawet, co dzieje się w rodzinie.

Zresztą wiele się nie działo, wszystko szło ustalonym rytmem: Mirek chodził na budowę i wracał z budowy, i wtedy oglądał telewizję.

Wojtek, Basia i Kasia z nową energią i pełni zapału biegali do szkoły Zapomnieli o zajęciu z Rafałem, znowu w wielkiej komitywie zajmowali sobie nawzajem miejsca w autobusie do szkoły. Matka, codziennie jednakowo zapracowana, codziennie jednakowo milczała.

Joanna widziała jednak wyraźnie, że w tym jej metodycznym milczeniu coś się zmienia.

Coraz częściej przychodzili do niej, do pokoju na poddaszu Wojtek albo któraś z bliźniaczek, nie tylko po to, żeby poinformować, że obiad na stole. Przynosili kanapki, owoce, herbatę i ciastka. Nawet „pedigripal”.

Dania z kostki sojowej, obśmiewanej przez rodzeństwo i matkę. Mówili zawsze, że to pedigripal, sucha karma. Tyle że dla Joanny, a nie dla kota czy psa.

Pytali, jak idzie nauka i jak się czuje. Przysyłała ich matka.

Może złagodniała dlatego, że Joanna nie wychodziła z domu ani na krok i od pamiętnego ogniska nie widziała się z Tomaszem ani razu.

Zwyczajnie nie miała czasu, żeby wybrać się do Tomaszowej chaty, ale nie tylko to trzymało ją w domu. Była więźniem poważnych rozterek.

Bo tamtego wieczora, kiedy ognisko u Tomasza grzało mocno, Joanna dużo mówiła. Bardzo dużo. Wszystko to razem: ogień, gwiazdy i wino, a także zasłyszana gdzieś myśl, że lepiej żałować, że się coś zrobiło, niż żałować potem przez całe życie, że się tego czegoś nie zrobiło, nastroiły ją do pójścia na całość. Punktem zwrotnym była spadająca z nieba fantastyczna gwiazda.

Tomasz [biedny Tomasz] już-już miał usłyszeć, jak to Joannie bardzo na nim zależy, jaki to on jest jedyny, wyjątkowy i wspaniały Dla niego zniesie mężnie nawet rok milczenia

matki. I dwa lata plotek w Jagielkowie.

Usłyszeć miał też, że tak naprawdę od pierwszego ich spotkania, wtedy, na asfaltowej, rozgrzanej upałem drodze do Ja-gielkowa, myśli o nim nieustannie. Walczyła ze sobą, tłumiała, co się w sercu rodziło, pęczniało, rosło. Próbowwała żyć życiem rówieśników z okolicy, wybrała się nawet na dyskotekę, ale na nic się to zdało.

Bo ona, Joanna (teraz mu powiem), Tomasza po prostu i z całego serca...

Tu Tomasz trwającą długą chwilę ciszę, nabrzmiałą wyraźnie niewypowiedzianymi jeszcze, ale już-już unoszącymi się w powietrzu słowami Joanny - przerwał, zrywając się od ognia z okrzykiem, że buty mu się palą.

Faktycznie, podeszwy zaczęły dymić, bo ogień wypelzł zanadto poza zamknięty i w miarę regularny krąg kamieni. A oni, leżąc w trawie, z nogami skierowanymi właśnie w stronę grzejącego miło ogniska, najzwyczajniej nie zauważyli płomieni, które zaczęły gorąco tulić ich obuwie.

Tak oto ogień uratował ją przed absolutnym pograżeniem, w oczach Tomasza naturalnie. A mimo to była pewna, że i tak stopień owego pograżenia jest na tyle duży, że lepiej będzie, jeśli nie pojawi się u niego przez jakiś czas.

Co dokładnie znaczyło owo „jakiś czas”, tego Joanna sprecyzować nie potrafiła. Wiedziała tylko, że zanim go spotka, musi coś wymyślić. Jak długo można wodzić za nim oczami? Trzeba coś z tym zrobić, żeby Tomasz nie myślał, broń Boże, że Joanna to nie tylko „prowincjonalna, ale i sentymentalna blond gęś”.

Dokładnie takie słowa Joanna znalazła u Jolki, która - miast pocieszyć uwikłaną w splot okoliczności, j ak na jagielkowskie lato, niezwykłych, i udręczoną niepewnym obrotem spraw Joannę - napisała jej bez ogródek w długo

oczekiwanym liście, co myśli o wszystkim, co przypadło w udziale przyjaciółce.

Joanna uwielbiała dostawać listy Kiedyś pisała ich mnóstwo, teraz korzysta zazwyczaj z internetu. Zazwyczaj w Ja-gielkowie nie ma dostępu do sieci, ale jest papier, są znaczki kupowane na pocztę.

Listonosz przychodził przeważnie przed południem, ale koperta pozostawała nieotwarta aż do wieczora. Dopiero gdy mijający dzień zlewał się w jedno z chłodną nocą, czuła odpowiedni nastrój do tego, by zasiąść w sfatygowanym mocno fotelu, z filiżanką (koniecznie filiżanką, nie kubkiem) herbaty pod ręką. Przyglądała się kopercie raz jeszcze, choć przecież przez cały dzień wiedziała, kto do niej napisał. Dopiero po takiej ceremonii zaczynała lekturę. Bywało, że ceremonia trwała dłużej niż czytanie.

Tym razem miała co czytać. Bite osiem stron formatu A4. Najpierw to, co u Jolki. Była w Szwecji na obozie językowym. Między zajęciami, zamiast zaglądać w oczy niebieskookim, jasnowłosym Szwedom, spędzała czas ze śniadym, czarnowłosym i ciemnookim muzułmaninem z Egiptu.

Ahmed mu było. Jolka oddała mu serce (o niczym innym nie wspominała). Z wzajemnością.

Po opisach szwedzkich krajobrazów sypnęła się miazdząca krytyka Asynych rojeń na temat - ewentualnej oczywiście - przyszłości związku z Tomaszem. Tu właśnie została przez Jolkę ostrzeżona, by nie zachowywała się jak „prowincjonalna i sentymentalna blond gęś”. Jolka rozumie, że można się zakochać, na całe lato, nawet w starszym, a w zasadzie, trzeba to powiedzieć jasno [muszę to zrobić, jako Twoja przyjaciółka nie mam innego wyjścia, mam moralne prawo wypowiadać słowa niewygodne może, ale jednak słowa

prawdy), w starym facecie, który mógłby być jej, Joanny, ojcem, to nawet jest dość modne, ale po co robić z tego wielką historię miłosną?

Przecież taki facet, owszem, może być dobry na letni romans, ale nigdy na poważny związek.

A przede wszystkim ona uważa, że Joanna źle interpretuje zachowanie znajomego. Te jego szarmanckie gesty, powściągliwość to tylko przykrywka dla niecznych zamiarów, nic więcej. Uwiedzie Joannę, jak nic, to rzecz pewna, a ta będzie płakać potem całą jesień, z powodu fatalnego i niczym nieusprawiedliwionego ulokowania uczuć w złym obiekcie, którego jedynym atutem jest to, że w ogóle w Jagielkowie jest.

Albo, co gorsza, wcale jej nie uwiedzie. Może nie ma nawet takiego zamiaru. I to dopiero będzie płacz.

Joanna przyznała rację przyjaciółce. Rzeczywiście nie wie, co jej strzeliło do głowy. Oszałała.

Co ja mam z tym zrobić? Z tą fatalną tęsknotą za Tomaszem, która zabiera mi nie tylko lekcje w szkole, ale kradnie też wieczory? To znaczy na razie ukradła dwa. Bo dopiero od wczoraj nie zakuwam i nie bronię już tak bardzo dostępu do siebie myślom, które do tej pory spychałam gdzieś daleko.

Zdałam obydwie egzaminy, na czwórkę i na cztery i pół. Nie spodziewałam się takich sukcesów. Teraz mogłabym trochę odetchnąć, a tu masz babo placek, a raczej, masz babo Tomasza!

Budzę się - Tomasz, w szkole - Tomasz, w domu - Tomasz, zasypiam - Tomasz, Tomasz, Tomasz. Nudne po prostu.

Na dodatek, chociaż nie odsłoniłam się przed nim, to wszystko to, co chciałam mu powiedzieć, naprawdę mi w duszy gra. I kiedy to nazwałam po imieniu, w swojej głowie, samą

siebie zadziwiłam, że tak właśnie jest. Nie wiem, co z tym zrobię, ale jedno jest pewne. Drugiego pierwszego kroku już nie zrobię.

Pod listem Jolki jest postscriptum. Zamierza odwiedzić przyjaciółkę w Jagiełkowie i osobiście pomoże jej otrząsnąć się z tomaszowej historii.

Nie może pozwolić na to, by Joanna złamała sobie serce.

Kiedy rano matka wita Joannę słowami: „Chodź do stołu, są naleśniki z serem, jak lubisz”, Joanna wie, że stało się coś nadzwyczajnego. Tylko co?

Na odpowiedź nie czeka długo...

- Zawiesz mleko Kociołkowej?

- Zawiozę. A panu Tomaszowi?

- Pan Tomasz wyprowadził się z chaty. Jakies dwa tygodnie temu.

Wpadł tylko, żeby się rozliczyć, i tyle go było. Mówił, że ma jakieś ważne sprawy do załatwienia w Warszawie. Prosił, żeby cię pozdrowić, ale wyleciało mi z głowy, bo ciągle siedziałas na górze i uczyłaś się, a poza tym nie chciałam ci głowy zawracać. - Język matki obracał się tak szybko, jakby nie mógł przestać, jakby cieszył się, że po dwóch miesiącach aresztu wreszcie może na widok Joanny pleść do woli.

Dziewczyna blednie. Czuje, jak słodki ser z naleśnika pęcznieje jej w ustach, jak rośnie. Nie przełknie ani grama więcej. Odstawia talerz i wychodzi bez słowa. Słyszy jeszcze z daleka matczyne:

- To lepiej ja sama do Kociołkowej pojedę!

Dobrze, że dziś sobota i nie musi iść do szkoły. Dobrze jej w łóżku, spędza tu cały dzień. Nie płacze już. Chyba nawet nie ma żalu do Tomasza. Przecież nic jej nie obiecywał. Byłoby miło, gdyby się pożegnał, zwłaszcza że był tu, u nich w domu, przed wyjazdem. Może coś mu wypadło i bardzo się spieszył?

Jest teraz zła na samą siebie. Jeszcze go usprawiedliwia. Czy nie może na chłodno ocenić całej sytuacji, tak jak zrobiłaby to Jolka? Siada, prostuje plecy i próbuje wcielić się w przyjaciółkę. Tak, teraz samoocena pójdzie jej jak z płatka. Wszystko jej się zdawało przecież! Coś tam niby zauważyła, jakieś afekty, coś dopowiedziała, wymyśliła i wysła jej z tego wielka miłość do Tomasza, jak zupa z gwoździa Cyganowi. Tyle że Cygan swoją zupę zjadł, a ona?

Jolka ma rację. Joanna jest sentymentalną blond gęsią i tyle. Na dodatek zaczyna wylewać łzy, jeszcze zanim lato minęło. Bo przecież jesień dopiero za tydzień.

- A masz, a masz, ty szwabie, łajzo ty jedna, won do siebie, spadaj na drzewo liście prostować! - Drobnym i zazwyczaj nieśmiałym Adaś w okularach eksploduje ostrymi słowami i ciosami wymierzonymi tekturowym mieczem prosto w kolebę z ławki, Kubę.

Kuba ma na sobie białe prześcieradło z wymownym czarnym krzyżem i nie pozostaje dłużny Adasiowi.

- Tylko nie szwabie, tylko nie szwabie, przecież pani nam mówiła, że Krzyżacy to nie tylko Niemcy, zapomniałeś, barania głowo? - Broń Kubę nie wytrzyma, gnie się, łamie i idzie w strzępy. Kuba bierze się więc do walki wręcz.

Joanna musi interweniować. Dobrze, że Jolka chciała przyjechać tutaj razem z nią. Przydaje się. Cały czas uważa, tak samo pilnie jak Joanna, żeby chłopcy nie przesadzili. Dziewczyny zresztą też są ostre.

Weszła na głaz, żeby ogarnąć wzrokiem całe pole bitwy. Kieruje ruchem całkiem sprawnie i musi przyznać, że Mocny tym razem naprawdę się zaangażował.

Biega po polu, dwojąc się i trojąc, jest wszędzie tam, gdzie bitwa zaczyna wymykać się spod kontroli.

- Proszę pani, proszę pani, a Piotrek nie daje się zabić! -

krzyczą dwaj chłopcy w zbrojach.

Bez pomocy Joanny bitwa może dramatycznie zmienić swój przebieg. Piotrek, prymus, w nagrodę za aktywność na jej lekcjach dostał rolę Ulryka von Jungingena. Zamiast jednak polec, jak należy na polu walki, ucieka teraz kolegom, stawia opór, broni się zaciekle.

- Cieniasy jesteście! - wrzeszczy do nich i macha mieczem jak oszalały.

- Piotrek, musisz zginąć! Przecież wiedziałeś od początku, że zginiesz. Nie możemy dłużej czekać, pani każe kończyć. No, giń wreszcie.

Nic nie pomagają. Żadne namowy Joanny ani kolegów.

Piotrek pozwala się zabić dopiero wtedy gdy na arenie pojawia się Mocny i grozi mu pałą za nieznamość ostatniej lekcji historii.

Teraz leży na murawie. Nie rusza się wcale. Maciek, Paweł i Wojtek krzyczą na cały głos:

- Wielki Mistrz zginął! Zginął! Hura!

To sygnał dla wszystkich wojowników, że bitwa się kończy. Białe płaszcze padają na ziemię jak muchy rycerstwo polskie i Litwini triumfują. Kierowca w autokarze trąbi głośno, zniecierpliwiony Jego czas mija. Joanna, Jolka i Mocny zaganiają towarzystwo do samochodu.

Z Grunwaldu do Mazurkowa jest trzydzieści kilometrów. Całą drogę w autobusie wrze. Spocone i umazane dzieciaki dyskutują zawzięcie o bitwie. Są straty - sześć prześcieradeł ma dziury, jedno futerko starszej siostry które grało rolę skóry prosto z Litwy jest rozprute, tekturowe miecze - wszystkie pogięte. Jagiełło (prymus Marcin) zgubił koronę.

Joanna patrzy na rozemocjonowany tłum uczniów i jest naprawdę szczęśliwa.

- Tak wygląda drama - tłumaczy niezorientowanej Jolce.

- Taka historyczna bitwa, odegrana przez uczniów na prawdziwym polu, pod prawdziwym Grunwaldem, to drama. Nowoczesny sposób na naukę historii.

Opowiada przyjaciółce, jak na początku Mocny robił wielkie oczy.

Na widok przemeblowanej przez Joannę sali numer 29, gdzie wszystko stało dokładnie tak, jak wtedy, kiedy zaczynała pierwsze lekcje historii, zaniemówił. To była drama numer jeden. Joanna przeprowadziła ją u najmłodszych uczniów. Temat: Pasowanie na rycerza. Dzieciaki przyniosły z domu pasy, bo przepasane wyglądały bardziej na przyszły kwiat rycerstwa, a Joanna - „miecz”. Ustawiła ławki w krąg. W środku odbywało się pasowanie.

- Klasa oszalała z radości. Na to wszedł Mocny. Zaniemówił, ale dał mi potem wolną rękę - cieszy się Joanna. Kiedy rzuciła hasło, że na lekcjach o Krzyżakach fajnie byłoby pojechać do Grunwaldu, bo to w końcu niedaleko, no i odegrać tam bitwę, Mocny zapalił się do pomysłu.

Zorganizował autokar. Załatwił formalności z dyrekcją. Zdobył kilka wolnych godzin.

Dziś bitwą pod Grunwaldem Joanna kończy swoją praktykę i wakacje w Jagielkowie. Od wczorajszego wieczoru jest jej raźniej, bo przyjechała na chwilę, po drodze do Warszawy, Jolka. Opalona i zakochana. Na gwałt uczy się angielskiego, żeby pisać w listach do Ahmeda to, co naprawdę chce, a nie to, co umie.

Przegadały prawie całą noc. Nad jeziorem. Joanna s płakała się jak bóbr, a Jolka, typ chłodnej intelektualistki, co to ma setki matematycznych wzorów w głowie (bo studiowała matematykę), typ zorganizowany i uporządkowany, no i zawsze - mimo serdecznej przyjaźni, która wykluła się w internecie, we wspólnym pokoju - trzymająca dystans, ta Jolka wczoraj cała

była jednym wielkim współczuciem. Utuliła Joannę, pogłaskała po głowie i przekonywała, że wszystko jakoś się ułoży Radziła, że najlepiej będzie, gdy mimo wszystko zapomni o Tomaszu. Lepiej, żeby krótko bolało, niżby miała szarpać się miesiącami.

Łatwo radzić. Bardzo brakuje mi Tomasza. Rozmów, oczekiwania na kolejne spotkania, marzeń. Nie myślałam, że tak się do kogoś przywiążę. To już pięć tygodni, od kiedy go nie ma. Poszłam w końcu do chaty, z Jolą. Okiennice zamknięte. Buda Reksa pusta. Tam tak smutno.

Analizuję setny raz to wszystko, co się wydarzyło, i nie wiem, dlaczego właśnie tak. Dlaczego wyjechał bez słowa?

Nawet, jeśli jestem gęsią, to skoro tyle czasu spędziliśmy razem, nie nudząc się, to chyba jednak zasługuję na zwyczajne: „Żegnaj, wyjeżdżam, nie wrócę” albo: „Do widzenia, załatwię sprawę i wrócę”. Nawet Jola zgadza się ze mną w tej kwestii. Zresztą gęś już odwołała po tym, jak wszystko jej opowiedziałam dokładnie, pokazałam chatę, jezioro...

Może nawet zasługuję na: „Do widzenia, coś mi wypadło, muszę wyjechać, będzie mi Ciebie brakowało, jesteś dobrą koleżanką”. Przecież zrozumiałabym, że na nic więcej liczyć nie mogę.

Nie, wcale nie zrozumiałabym. I byłoby mi lżej, gdybym wiedziała, że jemu jest choć trochę źle beze mnie. Albo lepiej, żeby było mu beze mnie zupełnie źle.

Ale póki co, zupełnie źle jest tylko mnie. Jutro wyjeżdżam do Torunia, Jola do Warszawy. I zrobię wszystko, żeby o Tomaszu zapomnieć!

Po zamaszystym wykrzykniku i krótkiej przerwie Joanna decyduje się na jeszcze jedno, znamienne zdanie.

Czy nigdy nie może być po prostu, tak zwyczajnie, dobrze, kurwa mać?

Od rana niebo i ziemię łączą w jedno strugi lodowatego

deszczu ze śniegiem. Tną podwórko i zamieniają je w grzęzawisko. Wiatr przygina drzewa do ziemi. Dobrze, że Joanna patrzy na ten kataklizm z okna zamiast spod kaptura. Co prawda wczoraj szy przyjazd nie uchronił jej przed przeziębieniem, ale i tak cieszy się, że nie musi teraz właśnie, w taki deszcz, dreptać ze stacji w Mazurkowie do domu.

Wczoraj już przebudzenie wróżyło, że dzień będzie inny od wszystkich. Z braku budzika, za radą koleżanki, Joanna zamówiła pobudkę u portierki, pani Halinki. Poszła spać dopiero o drugiej, a winne temu były pogaduchy z Dorotą. Dziewczyna zdążyła przez te parę tygodni odkryć, że ma z nią wiele wspólnego. Może nawet się zaprzyjaźnią.

Pani Halinka, co jest zupełnie zrozumiałe, nie budziła oczywiście nikogo osobiście. Korzystała natomiast z zaawansowanej techniki, której dobrodziejstwa spływały niegdyś na cały akademik. Kluczowym elementem sukcesu w budzeniu były kołchoźniki. Wisiały we wszystkich pokojach i całą dobę katowały słuchaczy heavy metalowym, death metalowym, punk rockowym, industrialnym albo przynajmniej mocno under-groundowym łomotem prosto ze studenckiej rozgłośni. By je włączyć albo wyłączyć, trzeba było wejść na krzesło, bo wisiały pod sufitem. Głośność była regulowana, ale miała tylko kilka poziomów.

Mimo to kołchoźniki były niezastąpione dla co biedniejszych studentów, tych bez własnego sprzętu grającego. I budzików.

W każdym razie, kiedy o piątej rano z kołchoźnika pod sufitem Joanna usłyszała ryk: „Wstawaaaać, pobudka, dziewczyny, wstawaaaać i zejść tu do mnie, wstaaawać!!!”, o mało nie dostała zawału.

Pani Halinka oderwała się od mikrofonu, który przyjmował właśnie kolejny raz słowo „pobudka” dopiero

wtedy, kiedy ujrzała Joannę w koszuli nocnej, z głową wciśniętą w okienko portierni.

- Wstałam! Halo! Wstałam! - Joanna zastukała w okienko.

- No widzę, wreszcie. Ha, moje budzenie nadal jest skuteczne w stu procentach. Leć do domu, dziewczyno!

I Joanna leciała tak szybko, jak mogła, choć po takim przebudzeniu trzęsły jej się nieco ręce i nie mogła się spakować. Potem uciekł jej tramwaj na Dworzec Wschodni.

Do pociągu wsiadła naprawdę w ostatniej chwili, kiedy już ruszał.

W korytarzu wpadła prosto na konduktora. Zrugał ją niemiłosiernie. Że chyba rozumu nie ma, pchać się do pociągu, kiedy on już jedzie, że życie jej niemiłe, a w ogóle to grzech taaakie nogi pod koła pakować. Potem sprawdził, czy ma bilet (nie miała, bo nie zdążyła kupić). Chciał jej wlepić mandat, żądał dokumentów Skończyło się na wypisaniu biletu, małym egzaminie z treści dokumentów (data urodzenia?, nazwisko?, imię?, adres?) i skrupulatnym zlustrowaniu pieczętki i podpisu w legitymacji studenckiej.

Trzymał Joannę ponad kwadrans. Kiedy wreszcie dopadła przedziału i wolnego miejsca przy oknie, natychmiast zasnęła. Tak mocno, że zamiast wysiąść w Mazurkowie, ocknęła się dopiero stację dalej. Nie czekała na powrotny pociąg, bo musiałaby siedzieć trzy godziny na ławce w ponurej poczekalni o rozmiarach dwa na trzy metry Poszła piechotą. Do domu miała równo dwanaście kilometrów Na ostatnim kawałku drogi dobił ją Paweł. Diabli go przynieśli do Jagiełkowa akurat wtedy, gdy pojawiła się Joanna.

- Cześć, pani studentko! - przywitał głośno jak zwykle.

Zastąpił drogę. - A gdzie narzeczona? - Mina Pawła była zagadkowa.

Marszczył czoło, brwi podnosił do góry i uśmiechał się znacząco. Tyle że Joanna nie wiedziała zupełnie, co ten uśmiech miał znaczyć.

- Jaka narzeczona?

- Jak to jaka? Twoja!

- Nie chwytam dowcipu.

- Nie udawaj. Widziałem was wtedy. Nad jeziorem. - Kogo?!

- No ciebie i tę czarną z kręconymi włosami. Oj, szkoda was, dziewczyny, dwie ładne laski tak się marnują.

- Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Zaczyna mnie ta rozmowa męczyć, idź swoją drogą, dobrze? - Próbowała wyminąć kolegę. Rozłożył ręce.

- Jasne. Zaraz sobie pójdę, wiem, że nie lubisz facetów. Głupie wiejskie baby dały się nabrać na warszawiaka, a nie wiedzą, że Joasia ma, jak to się ładnie mówi, inną orientację. Ha, ha, ha! Pójdę, tylko powiedz, jak wy to robicie, co?

- Odczep się! - warknęła.

- No powiedz. Widziałem tylko trochę i to z daleka. Głaskanie po głowie. Tfu!

- Spadaj!

- Dobra, dobra, nie denerwuj się. Ja jestem tolerancyjny. Pary z ust nie puszczę. A jakbyś chciała wrócić do natury, daj znać.

Joanna wchodziła do domu, przeklinając pod nosem Jagieł-kowo i swój ciężki los. W tej cholernej wiosce ciągle mało igrzysk, ciągle za mało czarownic. Zresztą, może to i lepiej. Może dadzą mi spokój, jak już będę odmieńcem w każdej dziedzinie?

- A jak jest w akademiku? - Matka naprawdę interesuje się tym, co otulona w koc i wyposażona w stos chusteczek

higienicznych Joanna opowiada o życiu w Toruniu.

- Sympatycznie. Trafiłam do miłych dziewczyn. Z jedną polubiłyśmy się bardzo. Jesteśmy razem na roku. Przeważnie w tych samych grupach i razem chodzimy na zajęcia. Pokazała mi, gdzie co jest, opowiedziała, jacy są profesorowie, do kogo zapisać się na ćwiczenia.

Byłyśmy też parę razy w klubie studenckim. Bardzo fajna atmosfera.

Matka nie kryje radości. Wreszcie jej Aśka normalnie. Wreszcie jakieś koleżanki i kluby, a jak kluby, to pewnie dyskoteki. No. Może też wreszcie kogoś pozna. O warszawiaku chyba zapomniała, to i dobrze. Że też musiał się tu pojawić akurat teraz.

- Widziałam w dzienniku, tak króciutko, jakaś kamienica na Starówce się paliła, to trochę mi przypominało Gdańsk. Byliśmy kiedyś w Gdańsku na wycieczce z ojcem. I w Sopocie. Boże, do końca życia tego nie zapomnę! Kupiłam sobie wtedy nowe buty, specjalnie na wycieczkę, takie na koturnie. Nogi bolały mnie chyba już przed wyjściem z autokaru.

Wisiałam na ramieniu ojca przez całe trzy dni, ale co się na-ogłądałam, napatrzyłam, to moje... - Matka rozmarzyła się na dobre.

Wygląda teraz naprawdę ładnie, z takim jasnym uśmiechem na twarzy.

- Rzeczywiście, trochę może kojarzyć się z Gdańskiem, ale jest dużo mniejsza, miniaturowa. Kamienice są skromniejsze. Wiesz, mam, jestem bardzo zadowolona z przenosin. Chociaż jestem tam nowa, czuję się dużo lepiej niż w Warszawie. Jest bardzo dużo studentów, to widać na ulicach. Wszędzie młodzi ludzie. Na zajęcia chodzę pieszo. Nie ma korków, mam tylko parę kroków na Starówkę. Nie ma tego wariackiego pędu.

- A jak z pracą? Pewnie nie zdążyłaś jeszcze się rozejrzeć?

- Zdążyłam. I jestem już umówiona z jedną panią na prasowanie trzy razy w tygodniu. Wpadnie mi parę groszy. No i przede wszystkim dostanę stypendium naukowe. Jednym słowem, możesz mnie już skreślić z listy dzieci na utrzymaniu.

- Ale słoiki z dżemem będziesz jeszcze brać? - Pytanie jest czysto retoryczne. Dżemy matki są najlepsze pod słońcem, toteż Joanna zastrzega:

- No pewnie, twoje dżemy będę brać do końca życia.

Te parę dni w domu minęło tak szybko. Pierwszego listopada cała rodzina była w kościele i z procesją na cmentarzu. Zapalili znicze na grobie ojca. Beze mnie, bo zmogła mnie jakaś choroba, ale było mi to nawet na rękę. Odwiedziłam ojca w Zaduszki. Cmentarz taki cichy i spokojny.

Pogoda tak samo paskudna, jak rok temu, jak dwa i trzy lata temu.

Rok, dwa i trzy lata temu było inaczej. Razem z ojcem jeździliśmy na cmentarz w Mazurkowie i zapalaliśmy znicze na przypadkowych, pustych i zapuszczonych grobach, bo cała rodzina, bliższa i dalsza, była wtedy po tej stronie świata.

Jak to możliwe, że jako mała dziewczynka zazdrościłam koleżankom, że mają „swoje” groby do odwiedzania? Przecież to bardzo dobrze nie mieć grobu do odwiedzenia w pierwszy dzień listopada.

Na kuchennym stole piętrzy się sterta wałówki, którą matka donosi i donosi bez końca. Jeszcze pierogi z wczorajszego obiadu. Tylko kapusta i grzyby, bez żadnego mięsa, jak zaznacza matka. I bigos w słoiku, z soją.

Postoi. Trochę jajek. Twaróg. Dżem z truskawek, dżem z porzeczek, dżem z jabłek. Słój kiszonych ogórków.

- Mamo, nie dam rady tego wszystkiego udźwignąć! -

Standardowy protest Joanny, wygłaszany niezmiennie, trzeci już rok, przy każdej wizycie w domu rodzinnym, przez matkę niezmiennie, trzeci już rok, lekceważony.

- O, tu jeszcze mam dla ciebie taką dobrą wędlinkę.

- Mamo! - Joanna wie, że matka tylko żartuje. Ostatnio wszystkim opowiada, że naprawdę da się ugotować zupę bez mięsa. I taka zupa całkiem dobra jest.

Zrezygnowana Joanna dociska rzeczy w plecaku. Pakuje wszystko, co jest na stole. Nie potrafi być asertywna. O, to słowo, którego nauczył ją Tomasz.

Hm, ciekawe, czy jeszcze kiedyś pojawi się w chacie Zie-lińskich. A może ją sprzeda? Może już ją sprzedał? A może dzień pojawi się w niej jakiś inny właściciel? Przystojniejszy, dowcipniejszy i młodszy? Taki, co nie wyjeżdża bez pożegnania?

Kiedy Tomasz wchodzi do kuchni, Joanna zastyga jak żona Lota. Z

tą różnicą, że żona Lota na pewno nie miała w rękach słoja z kiszonymi ogórkami.

Nawet nie stara się udawać, że to wejście nie robi na niej wrażenia.

- Dzień dobry! O, Joasia?! - Tomasz też jest zaskoczony.

- Pukałem i pukałem, nikt nie odpowiadał, więc wszedłem. Drzwi nie były zamknięte.

- Niebyły.:

- Cou ciebie?

- Dziękuję, wszystko w porządku.

- Nie żałujesz przeprowadzki do Torunia?

- Nie żałuję.

- Przyjechałaś na Wszystkich Świętych?

- Tak, właśnie wyjeżdżam.

- Chciałem zamówić mleko, ale widzę, że nie ma twojej

mamy.

- Nie ma. Jest. To znaczy nie ma jej chwilowo. Pobiegnę ją zawołać.

- Nie zniesie ani chwili dłużej tej poprawnej, bez śladu emocji, wymiany zdań. Ścisną ją w gardle. Jeszcze chwila i zacznie płakać.

Przecież on zachowuje się tak, jakbym z nim tej cholernej szafy wcale całą noc nie malowała. Jakby nic o mnie nie wiedział. Jakby nie wyjechał tak nagle.

Joanna wraca do kuchni dopiero, kiedy furgonetka Tomasza znika przed bramy. Matka kręci się szybciej niż zwykle i głośniej niż zwykle stuka garnkami.

Nic jej nie powiem, jeśli nie zapyta.

- Rozmawialiście długo? - Krótco.

- Przeprowadził się tu z powrotem?

- Nie interesuje mnie to. I on też mnie nie interesuje, mamo! - Joanna wybucha, a matka oddycha z ulgą.

- Nareszcie zmądrzałaś. Szkoda tylko, że od razu mnie nie posłuchałaś. Potrzebne ci były te łyzy? Ja od początku wiedziałam, że...

Nie, tego słuchać nie będę.

- Mam parę rzeczy na górze, pójdę po nie, żeby nie zapomnieć.

Ściągnęła wypchany plecak z półki. Przysiadła w kącie i spojrzała w okno. Pociąg zwalniał właśnie na dużym łuku i ospale wjeżdżał między strzelające w górę sosny. Za drzewami lśniło dobrze jej znane jezioro.

Jęzor zamarznętej wody ciągnął się leniwie w ostrym słońcu, jego cienki, niby ogon jaszczurki, koniec ginał tajemniczo w szuwarach. Za jeziorem czerwieniły się znajomo dachy ceglanych domów Przymknęła oczy Za godzinę będzie w domu. Nareszcie w domu.

Joanna nie wierzy własnym oczom. Szaleństwo kolorowych lampek udzieliło się chyba wszystkim we wsi. Maleńkie światła żarzą się na niebiesko, czerwono i zielono. Mrugają. Mrugają szybko i wolno.

Wszystkie naraz gasną i zapalają się ponownie albo gasną i zapalają się jedna po drugiej. Są u Jesio-nowskiej (musiał je powiesić wnuczek, sama nie dałaby rady) i u Brzozowskich. Są przed sklepem i w oknach świetlicy.

Są nawet u Pawliniaków.

No i na jedynym świerku przed domem Joanny Na szczęście te ani nie gasną, ani nie zapalają się. Po prostu są.

W przedpokoju rzucają się jej na szyję po kolei.

Wojtek:

- Ja mam prezent nawet dla Wacka! Basia (szepem):

- Kupiłaś to, o co cię prosiłam, dla Kasi? Kasia (też szepem):

- Kupiłaś to, o co cię prosiłam, dla Basi? Mama:

- Nareszcie wszyscy w domu!;

I nawet Mirek (nic nie mówiąc).

Pachnie wszystkim naraz - kiszoną kapustą z grzybami, makowcem, smażoną rybą i pastą do podłóg.

- To dla mnie nic już nie zostało do zrobienia? - Joanna jest szczerze rozczarowana.

- Nic się nie martw. Będziemy musieli ostro zakasać rękawy, żeby zdążyć ze wszystkim przed pierwszą gwiazdką. - Matka po krótkim powitaniu jako pierwsza jest już zwarta i gotowa do pracy.

Jak co roku przy wigilijnym stole będzie padać ze zmęczenia. Ale nie da się namówić, by zrobić choć o jedną potrawę mniej niż zawsze, by nie piec kóregoś z ciast albo darować sobie zabawę w Świętego Mikołaja.

Co to, to nie.

Dziś polem bitwy jest kuchnia. Dziewczynki obierają warzywa.

Wojtek smaruje blachę do sernika. Nawet Mirkowi udzieliła się świąteczna atmosfera. Siedzi przy stole i kroi sałatkę. Joanna jest wydelegowana do lukrowania makowców. Dzisiaj będzie miała co jeść.

Wigilia to prawdziwa wegetariańska uczta.

Grubo po północy w kuchni gasną kolędy, które śpiewają Joanna i dziewczynki. Matka tylko słucha, a chłopaki zamiast śpiewać, chichoczą.

Zaraz po kolędach gaśnie światło.

Jak mi dobrze! Tak po prostu, zwyczajnie, dobrze! Chyba każdemu, kto jest z rodziną w przeddzień Wigilii, gdy święta są tuż-tuż, tak blisko, że już czuć je w każdym zakamarku, ale wiadomo, że najlepsze jeszcze przed nami, w taki dzień chyba każdemu jest dobrze.

Ja wprost fruвам z radości. Mam świetne prezenty dla wszystkich.

Dobrze wymyślone. Długo szukane. Jestem pewna, że każdy będzie zadowolony.

Do świąt brakuje już tylko choinki. Zrezygnuję z jej ubierania chyba dopiero wtedy, kiedy będę niedołązną staruszką. Ciekawe, ile bombek stłuczemy tym razem. Wojtek ma na swoim koncie przynajmniej dwie każdego roku.

Czuję wgłębni serca, że nic nie zmąci mi tego cudownego nastroju.

Jego budowanie zaczęło się już w Toruniu. Zrobiłyśmy sobie wigilijną kolację w akademiku z dziewczynami już tydzień temu. One wyjechały zaraz potem, a ja zostałam w pokoju sama jedna. I nawet nie było mi smutno.

Przydarzyła mi się sympatyczna historia. Dorota ma kolegę z ogólniaka. Jest o dwa lata starszy od nas. Odwiedza

Dorotę, a ona jego, umawiają się na wspólne wyjazdy do domów, bo mieszkają w tej samej miejscowości. Kolega ma na imię Piotr i chociaż wiedział, że Dorota wyjechała, wpadł do naszego pokoju, kiedy byłam już tylko ja.

Miałam oczy okrągłe ze zdumienia, kiedy usłyszałam, że długo zbierał się na odwagę, żeby mnie zagadnąć, bo jestem taka niedostępna.

No i zebrał się, i przyszedł, i zaproponował wspólnego sylwestra z paczką jego znajomych.

Zgodziłam się, bo nie mam nic lepszego w planach, a chłopak jest w porządku, miły, sympatyczny, inteligentny, no i przystojny. Kiedy dowiedział się, że na święta wyjeżdżam dopiero dzień przed Wigilią, zaczął mnie codziennie nawiedzać. Czwartego dnia przyszedł z gałązką świerku. Pocałował mnie!

Z kościoła wylewa się zbity tłum. Wynosi Joannę aż pod bramę i dopiero za kościelnym ogrodzeniem wypuszcza ją z uścisku. Na pasterkę wybrała się sama, pieszo.

Zmobilizowała się, by przywołać wspomnienia z dzieciństwa. Wtedy pasterka była obowiązkowa. Obowiązkowo na piechotę do Mazurkowa i z powrotem. Niebo zawsze rozgwieżdżone, tak samo jak dziś. Noc zawsze jasna od śniegu. Śnieg tak samo skrzypi pod stopami. Jak mąka ziemniaczana. Joanna nic na to nie poradzi, że właśnie z mąką jej się śnieg kojarzy

Owija się mocniej szalikiem, bo mróz szczypie w twarz. No, to teraz ostry marsz. Godzina i trochę. I będzie w domu.

Taki spacer po tych wszystkich pierogach z kapustą, sałatkach, barszczu z uszkami, kapuście z grzybami (o rany, aż tyle zjadłam?) jest jak koło ratunkowe dla przepełnionego brzucha.

Musi koniecznie zapamiętać to zdanie, żeby je zapisać w swoim kajecie. Ciekawe, czy dzieciaki namówiły matkę na

podsluchiwanie krowy. Same trochę boją się pójść do obórki, a matka z kolei nie chce, żeby dowiedziały się, że krowa milczy jak zaklęta, bo broni magii Wigilii i całych świąt. Dlatego wymyśla sto powodów, dla których koniecznie musi zostać w domu. W końcu ustępuje. Idą razem, ale jest już wtedy po północy. Krowa milczy. Dzieciaki są zawiedzione. Wtedy matka tłumaczy im, że Malina na pewno miała dużo do powiedzenia, tyle że oni wszyscy za późno przyszli. Wojtek i bliź-niaczki solennie obiecują sobie, że za rok nie dopuszczą do spóźnienia i przycisną Malinę do udzielenia wywiadu.

Joanna zadziera wysoko głowę, patrzy na oszronione gałęzie drzew, na rozgwieżdżone niebo, oblodzoną jezdnię i pola pokryte połyskującym od księżycy śniegiem. Nie może się nadziwić, że jest tak pięknie!

- Skąd Litwini wracali? - słyszy tuż za plecami. Podskakuje. -

Wiedziałem, że będziesz na pastercie. Widziałem cię od początku, ale nie mogłem dogonić, bo stałem tuż pod ołtarzem. Zabrał mnie po drodze sołtys z żoną, no i w kościele byłem dużo wcześniej. A ty dotarłaś w ostatniej chwili i stałaś pod chórem. I wyszłaś z pierwszą falą.

Dlaczego on tyle mówi? I skąd to nagłe zainteresowanie moim życiem, do tego życiem religijnym? I dlaczego Gwiazdor czy Mikołaj, wszystko jedno kto, nie interweniuje?

- Wszystko się zgadza, co do joty Bacznie mnie obserwowaleś, nie przeszkadzało ci to w modlitwie? - Odzyskuje równowagę. Będzie ironizować i prawić mu złośliwości przez całe siedem kilometrów. No może sześć, bo kawałek drogi już za nimi.

- Joasiu, wiem, że masz do mnie żal. Na pewno słuszny. Wiem, że cię zraniłem. I nie wiem, czy możesz mi przebaczyć. Czy chcesz mi przebaczyć. Bardzo za tobą tęskniłem. Cały ten

czas.

Czuje, jak serce jej łomocze. Jak wpada w panikę. Co robić?

- Powiedz mi tylko jedno. O co tobie tak naprawdę chodzi? - akcentuje mocno „naprawdę”, zatrzymuje się na chwilę i zagląda Tomaszowi w oczy

Choć raz ja zajrzę mu w oczy. O rety, no przecież cudowne są!

- Tak naprawdę chodzi mi o ciebie. Chcę być z tobą. Być? Ale jak być? Jak malowaliśmy szafę, to byliśmy ze sobą? Czy chodzi o inne bycie?

O co chodzi? Muszę mieć to czarno na białym. Nie będę się domyślać.

- Chcę, żebyś była moją kobietą. Chcę być twoim mężczyzną.

Wreszcie przemówił ludzkim głosem, choć to facet. Tylko w Wigilię takie cuda się zdarzają. Jeszcze tylko wykład męskiej logiki jest mi potrzebny. Chce być ze mną, więc dlatego, jak mnie już oswoił, co zajęło mu całe lato, to wyjechał bez słowa, a potem pojawił się nagle, żeby zamienić ze mną kilka nieważnych zdań. Jasne jak słońce.

- Wiem, że zachowałem się dziwnie. Ale wtedy, kiedy siedzieliśmy przy ognisku, i potem, kiedy spadały gwiazdy, przestraszyłem się.

Przestraszyłem się, że może sprawy zabrnęły za daleko, bo ja pilnowałem się cały czas, a tamtego wieczoru jakoś wszystko potoczyło się inaczej.

Joasiu, wyjechałem, bo bałem się, że trzy dni później nie mógłbym już zdobyć się na wyjazd. Wyjechałem, bo bałem się, że się we mnie zakochasz. Tak, to dopust boży, jak się w kimś zakocha taka dziewczyna jak ja.

- Nie bałem się ciebie, tylko bałem się o ciebie. Jesteś

taka młoda, niewinna, a ja - facet po przejściach i po czterdziestce. Nie chciałem cię wciągać w taki obciążony układ. A poza tym... Może nie powinienem tego mówić. Powiem. Twoja mama. Ona bardzo bała się tego, że będziemy parą. Powiedziała, żebym ci nie zwracał głowy. Miała rację.

No nie, o to bym jej nie posądzała.

- Joasiu, ja wyjechałem, ale było mi bardzo źle bez ciebie.

Tęskniłem każdego dnia. Nie mogłem przestać myśleć o tobie. Miałem już kupca na chatę, ale odprawiłem go z kwitkiem i postanowiłem, że zostanę w Jagielkowie. I poczekam. Zobaczą, jak na mnie zareagujesz.

Królika doświadczalnego sobie znalazł! Ja, prowincjonalna gęś, płakałam całą jesień, a on czekał na reakcję. To co, wysypki miałam dostać na znak tęsknoty?

- Kiedy cię spotkałem na początku listopada, nie wykonałaś żadnego, choćby najmniejszego, ale przyjaznego gestu. Potraktowałaś mnie jak kogoś zupełnie obcego. Wiem, zasłużyłem na to. Zachowywałem się jak ostatni palant, żeby cię zniechęcić. Potem żałowałem. I znowu biłem się z myślami. Ciągle nie wiem, czy mam prawo, czy nie mam prawa próbować z tobą być. A przede wszystkim, czy mam w ogóle jakieś szansę. Chciałbym mieć.

A ja chciałabym być twoją kobietą.

- A ja chciałabym być twoją kobietą - mówi pewnym głosem.

Kręci mi się w głowie! Czy to możliwe, że Tomasz znowu smakuje dymem z ogniska?

Warszawa, 13 maja 2004 r.

Wszelkie podobieństwa opisanych osób i sytuacji do osób i sytuacji rzeczywistych są przypadkowe.